

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok III

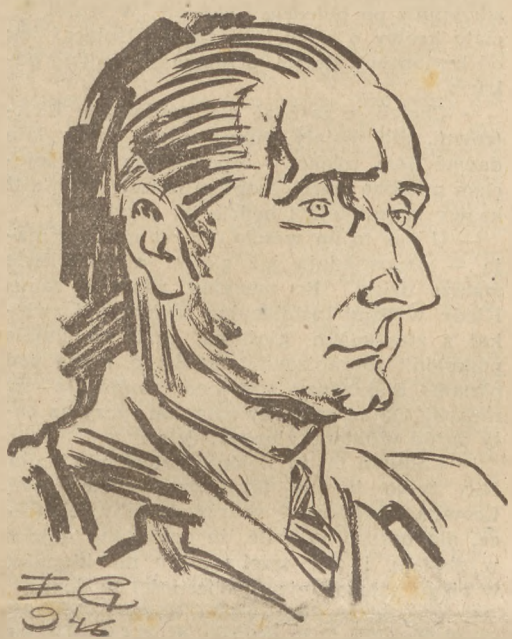
Kraków, dnia 16 czerwca 1946 r.

Nr 24 (81)

MARIA JAROCHOWSKA

Ludzie, którym nie stawia się pomników¹⁾

Kiedy w fabryce „Artigraf“ na Prądniku braknie surowca, musi ograniczyć produkcję puszek blaszanych. Fabryka Lutza na Podgórze pozbawiona puszek nie ma opakowań na swoje lakiery-emalie. Bez lakieru nie mogą być wykończone urządzenia blokowe w Wytwórni Sygnałów Kolejowych na Dąbiu. Czeka ją niecierpliwie granatowi kolejarze dalekiej stacji na nowe urządzenia blokowe, które od dawna zamówione mają zastąpić



FRANCISZEK SAK
(Fabryka wyrobów gumowych „Semperit“)

sfatygowane latami zabezpieczenia ruchu pociągów. Skomplikowane pudła urządzeń blokowych stoją zupełnie gotowe na hali fabrycznej w oczekiwaniu na zieleń trawiastego lakieru, który powinien je pokryć warstwą grubą, pachnącą ostro terpentyną. W przepaścistych kadziach u Lutza drży gęsta, zawieszona i tłusta ciecz utartego lakieru, oczekując na przelanie do puszek. A puszek nie wytwarza się, bo blacha z huty „Pokój“ nie nadeszła.

Wspólnota i wzajemna zależność jest może najbardziej namacalna, konsekwentna i niewątpliwa w pracy fabrycznej.

Gdy na chwilę parę ucihną generatory elektrowni, zamiera życie we wszystkich fabrykach poruszanych napędem elektrycznym, podobnie jak martwieje ciało, gdy skrzep w naczyniach wieńcowych zahamuje dopływ krwi do serca.

Jeśli idzie o ludzi, to mniej jest w fabrykach problemów indywidualnych. Większość trudności to trudności wspólne. Dla wszystkich robotników nie ma tłuszczu w konsumie, wszyscy z daleka muszą przychodzić do pracy i wszystkie matki jednakowo niepokoją się o pozostawione w domu dzieci.

W pierwszym okresie po wyzwoleniu dotkliwy brak węgla paraliżował wytwórczość fabryk. Wtedy o węgiel walczyły wszystkie zakłady pracy. Cegielnie wykupywały miał węglowy z prywatnych piwnic, robotnicy Elektrowni zwozili jego resztki ze wszystkich składów krakowskich, a pracownicy Emalierni wynaleźli w Borku Fałęckim porzucony samochód niemiecki i przetransportowali go na fabrykę sami naprawili, zakupili na własny koszt opony, aby wysłać go co prędzej do Trzebini po węgiel.

Wspólny los ukształtowany walką ze wspólnymi trudnościami od dawna już przekuł na fabrycznych halach oklepny slogan o sile w jedności w realną prawdę codziennego dnia.

Uspołecznienie klasy robotniczej to cecha równie zasadnicza i niezaprzeczalna jak przywiązanie chłopów do ziemi. Bo o ile w przywiązaniu chłopów do ziemi mieści się przede wszystkim dbałość o los własnej rodziny — przywiązanie robotnika do zakładu pracy zawiera w sobie równocześnie troskę o byt towarzyszy, bez których fabryka nie mogłaby produkować. Dlatego decyzje rewindykacji zrąbowanych maszyn podejmowała jednomyślnie cała załoga fabryczna i gdy wyruszyła kilkuosobowa drużyna, sprawa jej powodzenia jednako niepokoiła serca wszystkich

kich pozostałych robotników. W odzyskaniu maszyn żywo zainteresowani byli robotnicy wszystkich fabryk. Gdy „Kabel“ zmontuje przywiezioną walcownicę, krakowskie fabryki mogą walcować swój materiał w Płaszowie, a nie aż na Śląsku. Mniejszy koszt. Szybsza produkcja. A plany sieci kablowej odzyskane przez Elektrownię przyspieszą naprawę, gdy przerwa w dopływie prądu w jednej sekundzie utnie bezліtośnie całą produkcję we wszystkich prawie fabrykach.

Gdy czołwki polskich robotników pod Dreznem, Berlinem czy Frankfurtem walczą o odzyskanie wywiezionych urządzeń zdewastowanych warsztatów pracy — na zapleczu, w Polsce, narastają trudności, które trzeba pokonywać, aby nazajutrz zmagać się z nowymi. Walczy z nimi każdy robotnik, walczą kierownictwa fabryk, a przede wszystkim i najsukuteczniej — Rady Zakładowe.

Tylko ten, kto orientował się w warunkach fabrycznych Polski przedwrześniowej, może teraz ocenić jasno, że nim jeszcze upaństwowiono przemysł, powstanie Rad Zakładowych stało się równie doniosłym przewrotem w życiu fabryk, co reforma rolna na wsi.

Odziedziczone po starożytności słowo demokracja w półtorarocznym bezustannym użytku zdarło się nieczym zelówki sumiennego listonosza, nabrało nierzadko smaku mdłego znużenia czy gorzkich kpín. A jednak ci wszyscy, którym ta — jakże niestety często nieudolna — propaganda nie potrafiła zaciemnić sprawiedliwego sądu o sprawach, wiedza, jak dynamiczna treść mieści się pod pokrywą wytartych zdawałoby się frazesów o zdobyciach demokracji, jak gwałtownie zmienił się rytm życia na wsi i w ośrodkach przemysłowych, odkąd rozdzielono ziemię i stworzono Rady Zakładowe. Wiele, wiele błędów popełniono przy realizacji reformy rolnej. Są zadania, którym długo jeszcze nie będą mogły sprostać Zakładowe Rady, lecz nieodwracalna stała się zrodzona w 1944 roku prawda: chłop ma ziemię, robotnik decyduje o sprawach fabryki.

Dziś można już stwierdzić z satysfakcją, że robotnicy w tworzeniu Rad Zakładowych zdali egzamin dojrzałości na bardzo dobrze. Z nieomylną pewnością postawili na ich czele kolegów wyrobionych, ludzi „z fabryczną przeszłością“. Bo wieloletni trud wspólnej pracy, zależność, która nakazuje często nawet własne ruchy na całe życie dopasować do gestów drugiego człowieka — ów jednaki chropawy los i mozołny cel pozwalają lepiej niż kunszt najbardziej mistrzowskiej psychoanalizy poznać na wskroś serce tego drugiego, ocenić, co jest złotym kruszcem zalet nieugiętych, a co łamliwym tombakiem pozornych.

Józef Mika, przewodniczący Rady w fabryce szkielek do zegarków „Spectrum“ — wysoki, szczupły i poważny majster o niebieskich oczach i łagodnym głosie — nie bardzo, zdaje się, lubi mówić. W fabryce pracuje od 11 lat, a w r. 1936, w fatalnym roku strajków organizował walkę robotników z właścicielami o groszową podwyżkę płac.

Bez pośpiechu pokaże wnętrza wszystkich hal, gdzie robotnicy cichutko śpiewając rysują na zielonych jak woda morska taflach szkła okrągły kształt przyszłych zegarkowych szkielek — i na koniec mruknie mimochodem, że „w tamtym warsztacie przechowywało się te orły“. „Przechowywało się“ — to znaczy, że Józef Mika przez wszystkie lata okupacji ukrywał pod podłogą warsztatu trzy kamienne orły i miecz z pomnika Grunwaldu rozwalonego przez Niemców. Feliks Dziuba, kierownik fabryki, zorganizował wypad. Tomasz Perski przywiózł orły w starej szafie, a Mika upilnował, aby uszione pod podłogą, tuż obok wojskowego parku samochodów, pod ciężarem spojrzeń setek ludzi wietrzących wszędzie zdradę, doczekały się wolności.

Franciszek Sak pochodzi z Krosna. Wiele lat temu rozstał się z tym prześlizniętym, sennym miasteczkiem, wokół którego rosną smukłe pionowe naftowych szybów, a wiatr przynosi ów szczególny zapach ropy aż na rozległy rynek otoczony mrocznym krągłankiem renesansowych podcieni. Od wielu lat Sak pracuje w krakowskiej fabryce gumy „Semperit“. W tym niewielkim, spokojnym człowieku, w granatowym płóciennym chałacie, o opłatanym ruchach i trochę wstydlwym uśmiechu, trudno się domyślić groźnego wywro-

townia, którego zarząd fabryki dwukrotnie wyrzucał z pracy. „Semperit“ przed wojną należał do akcjonariuszy najpierw austriackich, potem niemieckich. Gdy mrowie-okupacyjnego robactwa obsiadło Polskę, niemieccy dyrektorzy „Semperitu“ pozostali na swych stanowiskach. Tylko w kłapy kusych marynarek wpięli krawki ze złamanym krzyżem swastyki, przestali mówić po polsku, a zaczęli wyrzucać ręce przed siebie w służbistycznym ruchu hitlerowskiego pozdrowienia, szczerkając swoje „heil“.

Franciszek Sak 10 lat temu, w marcu 1936 roku, organizował strajk okupacyjny na „Sempericie“.

— Ty kurwo, i tak porodzisz bolszewika — ryczeli na dziedzinie robotniczej granatowi policjanci grzmocząc je gumowymi pałami, a potem przemocą wyrzucili strajkujących z fabryki. W parę dni później krew robotnicza użyżniła koło Barbakanu zabłocone krakowskie bruki i Sak jak wielu innych pozbawiony został pracy. Jako wybitnego fachowca przyjęto go po jakimś czasie znowu. I wreszcie niemiecki zarząd usunął go po raz drugi i już ostatecznie jako „mocno niepewnego osobnika, demoralizującego załogę fabryki“. Za tego rodzaju demoralizację proponowano mu darmowy pobyt w hitlerowskim zakładzie wychowawczym pod godłem „Arbeit macht frei“. Jakoś udało mu się uniknąć obozu.

Po wyzwoleniu wraca do fabryki i zostaje jedynym obrany przewodniczącym Rady Zakładowej. Ten niebezpieczny „bolszewik“ z sanacyjnych czasów, ów zbrodniczy sabotażysta w oczach Niemców — jest dziś niestrudzonym w pracy gospodarzem fabryki. Pieczołowicie troszczy się o wszystko, począwszy od paszy dla świń hodowanych przy fabrycznej stołówce, a skończywszy na instalacji wentylatora przy kotle do topienia gumy, który ratować będzie robotnicze płuca od trujących wycieków.

Ogromny, grubo kościsty Stanisław Pocięgiel, o twarzy żywcem wyjętej z obrazu Brouwera i groźnie zmarszczonym czołem, jako przewodniczący Rady Elektrowni był głównym inicjatorem pamiętnej rewindykacji kabli z Goerlitz.

— To Pocięgiel przyciskał, aby się o te kable starać — opowiadają w ożywieniu robotnicy.

— Zaden Pocięgiel! Nie Pocięgiel, ale Rada Zakładowa i Koło PPR — prostuje z mrukliwym uporem lakoniczny przewodniczący i dalej wygląda oknem, może po to, aby napatrzeć się przywiezionym kablom.

— Zdałby się aparat fotograficzny. Sfotografowałoby się i do gazet dało, żeby ludzie wiedzieli, że kable już są — rozmyśla głośno i prostopadłe bruzdy spoczonej twarzy rozciągają mu się w prawie pieścizotliwym uśmiechu.

A Władysław Pietrzak z fabryki armatur „Łagiewniki“ w ogóle nie ma do prasy zaufania.

— Nie nie powiem, bo gazety to wszystko przekreśla. Nawet jak prawdę któraś napisze, to tak jakoś po swojemu przeinaczy, że człowiek własnej fabryki nie pozna. Więc najlepiej nie nic nie mówić.

A miałyby się czym pochwalić przewodniczący Pietrzak. Fabryka mimo wywiezienia przez Niemców całej hali najcenniejszych maszyn i gruntownego wyrabowania przez miejscowych specjalistów, rozpoczęła normalną pracę już 10 lutego 1945 r. Cały pierwszy okres gniotła zakład najcięższa z fabrycznych zmór: brak zbytu. Bez zbytu ledwo starczyło na skąpe wypłaty, a mowy być nie mogło o premiach. Z inicjatywy Pietrzaka utworzono samopomoc robotniczą, która udziela bezprocentowych pożyczek bardziej potrzebującym pracownikom. I choć wyprodukowany materiał zamiast w świat szedł „na magazyn“, niepremiowani robotnicy z miesiąca na miesiąc wzmagali wydajność pracy.

Niech się tylko Warszawa zacznie budować na fest, będziemy mieć zbyt na 50 lat — obliczyli sobie na pociechę.

Genowefa Berdziaiewicz w fabryce „Morwitan“, małowówna, cicha kobieta, która ratowała maszyny fabryczne przed wywozem i organizowała wysyłkę setek paczek do obozów koncentracyjnych — ruchliwy Władysław Kociak na Emalierni, opowiadający z humorem o bardzo poważnych osiągnięciach — Edward Austyn z Huty Szkła, choć młody,

już doświadczony i uderzająco inteligentny hutnik i dziesiątki, dziesiątki innych członków Rad Zakładowych — oto ludzie, którzy, sami awansując w hierarchii społecznej, wnieśli równocześnie swoim zakładom pracy bezcenne wiano zdrowej inicjatywy, stalowej energii i oddanej ofiarności. Ileż to rozmawia się z którymśkolwiek członkiem Rady w byłe której fabryce — zawsze i na nowo musimy się zadziwić tą, w jakiś tajemniczy sposób współ-



WŁADYSŁAW PIETRZAK
(Fabryka armatur w Łagiewnikach)

na im wszystkim cechą, tym, że każdy z nich obejmuje najdokładniej całość fabrycznych spraw, że nie zasklepia się w jednej, najbliższej mu dziedzinie, ale w jego mózgu i sercu mogą się pomieścić wszystkie najbardziej poplątane łańcuchy fabrycznych spraw. Zapewnia to powodzenie wszelkim przedsięwzięciom, sprawia, że Rady nierzadko bardziej są aktywne od dyrekcji, a już na pewno równie wiele mają kłopotów.

Bo po zdobyciu węgla — nowe „być albo nie być“ fabryk: brak surowca. Jakiś czas zakłady „jadą“ zapasami, których Niemcy nie zdołali wywieść. Robotnicy rozpaczliwie miotają się po całej Polsce — prośbą, groźbą, obietnicą i podstępem zdobywając surowiec. Wiele fabryk ratuje dopiero pierwszy transport ze Związku Radzieckiego. Guma naturalna i syntetyczna dla gumowni, miedź dla „Kabla“, materiały dla fabryk mundurów i bielizny.

Dziś stukające na zwrotnicach wagony przywożą już surowiec z łódzkich tkalni i śląskich hut, ciągle jednak niektóre fabryki nie mogą wypełnić przepisanej przez Ministerstwo Przemysłu planu produkcji jedynie wskutek braku surowca.

Mirkowska fabryka papieru w Jeziornej, zniszczona w czasie warszawskiego powstania i niedawno dopiero w części uruchomiona, może dostarczyć tylko ograniczonej ilości bibuły dla fabryk tutek. Segmenty kul szklanych do wyrobu szkielek zegarkowych trzeba sprowadzać aż z Sudetów. Olej llniany, konieczny do celów spożywczych, nie może być używany do produkcji lakierów, a tłuszcz do wyrobu mydła. Gwoździarnia na Rydlówce mogłaby produkować nie 75 ale 150 ton gwoździ miesięcznie, gdyby nie było jakiegoś bałaganu w Centrali Przemysłowej. Bo na hutach mówią, że surowiec jest, tylko rozdzielnika nie mają, więc dać nie mogą.

— Prędzej dawać rozdzielnik — denerwują się robotnicy, których wynagrodzenie zależne jest od wysokości produkcji. — I tak pensja ledwo na jedzenie starczy.

— Zeby tak trochę masła — wzdychają łagodniejsi z robotników we wszystkich bez wyjątku fabrykach. Bo bardziej porywczy mówią ostrzej, nie siląc się na określenie miękkimi słowami swego twardego życia. Niestety kwestia zaopatrzenia pracujących daleka jest jeszcze od rozwiązania. Oczywiście, że w porównaniu do warunków sprzed roku widoczny jest duży postęp, ogromnie jednak nieproporcjonalny do postępu w wydajności robotniczej pracy i zwiększania się produkcji. Ta-

¹⁾ Por. „Historia zaniedbana“ w nr. 75 i „Argonauci“ w nr. 79 „Odrodzenia“.



EDWARD AUSTYN
(Krakowska Huta Szkła)

ka np. szlifiernia „Spectrum” na Grzegórkach, jedyna w Europie wschodniej fabryka szkła do zegarków, produkuje dziś miesięcznie więcej niż rok temu, po uruchomieniu — kwartalnie, choć robotnicy chleba na kartki jak nie mieli, tak nie mają. A robotnicza skarga na brak chleba, to rzeczywiste przyznanie się do braku wieczornego posiłku, bez porównania bardziej wymowne niż rozdierające jęki marzyciela o trzeciej wojnie, który ponad wszystko uwielbia maślane bułeczki.

Parę miesięcy temu sytuacja się nieco poprawiła, gdy realizacją kart żywnościowych zajęły się Centrale Przemysłowe. Przynajmniej robotnicy zamiast chleba dostają niekiedy mąkę żytnią, w zamian za tłuszcz — rąbanke wieprzową.

Prawie wszystkie fabryki utworzyły spółdzielnie żywnościowe i konsumy, w których pracownicy mogą nabyć produkty nieco taniej. W pierwszym okresie po wyzwoleniu zespoły robotnicze jeździły na wieś wymienić produkty przemysłowe na żywność. Także brygady robotnicze pomagające w ściąganiu świadczeń rzeczowych zakupywały jedzenie. Najgorzej mieli się wtedy pracownicy Zakładów Użyteczności Publicznej, którzy nie dysponowali produktami przemysłowymi na wymianę. W ogóle pierwsze miesiące po wyzwoleniu były dla robotników pamiętnym czasem straszliwie pustego żołądka. Z powodu braków transportowych żywność do miast dochodziła skąpo. Pochłonięci odbudowywaniem warsztatów pracy nie mieli czasu starać się o jedzenie, nie każda fabryka mogła sobie pozwolić nawet na stołówkę, a w istniejących pitrasilo się tylko cienkie zupki. W Gazowni Miejskiej jeszcze w czerwcu 45 roku 400 porcji zupy, jedyny posiłek dzienny, omaszczano jedynym kilogramem tłuszczu.

Przed wojną jedynie fabryka „Herbewo”, ta najspółeczniejsza z fabryk, zorganizowała w 39 roku stołówkę. Dziś stołówki to bardzo poważna podstawa odżywiania się robotników. Ważny kawał robotniczego życia. Doceniają to sami robotnicy. Oprowadzając po fabryce prędzej pomina któryś oddział produkcji niż stołówkę. Tę musisz zobaczyć koniecznie. Różne są. Czasem, jak w „Sempericie”, po prostu wspaniale. W nowoczesnej, czystej niby apteka kuchni lśnią kotły parowe i migają niebieskawe płomienie na wielopalnikowych piecach gazowych. Przestronna, cała oszklona i dobrze ogrzana stołówka przypomina jadalnię w wysokogórskich sanatoriach.

Gdzie indziej proste, nieheblowane stoły trochę się chwieją na nogach z okraglaków — jak to bywa w karczmach wsi omijanych przez szlaki kolejowych nasypów i bitych gościńców.

Czasem ściany zdobią kolorowe obrazki fabrycznego artysty, a w oknach tłoczą się starannie podlewane pelargonie o welurowych płatkach i kosmatych liściach.

Albo: dwie uśmiechnięte nad białą fartuchów kobiety krzątają się w kuchni wśród obłoków pary, a z boku na krześle siedzi rozparty robotnik w zatłuszczonym smarami komбинезonie i w rozstąpieniu biegnie oczami po szpaltach gazety, wciągając z mimowolnie błogim uśmiechem smakowitą woń zupy.

— A bo u nas takeśmy postanowili, że co dzień jeden dyżur w kuchni ma. Nie żeby brak zaufania. Skąd? Tylko i kucharcie tak wolą. Żeby żadnych powodów do pretensji nie było.

— Pewno, pewno, nikt nikogo nie podejrzewa i weselej jest, jak co dzień innego chłopca mamy — chichoczą gospodynie i zaciskają ręce na trzonie olbrzymiej kopyści, którą wspólnie mieszają z maziem gęsty widać wrzątek zupy w tajemniczych głębiach kotła.

Menu robotniczych posiłków uległo dziś już znacznej poprawie. Co najmniej raz w tygodniu pojawia się mięso, przestały być marzeniem głodomora dwudniowe obiady, a zupy zagęściły się i stuszczały. Na nocnych zmianach robotnicy dostają przeważnie suchy prowiant. Bardzo wiele fabryk hoduje własne krowy i świnię, niektóre posiadają lub dzierżwią ogrody na użytk stołówek i pracowników.

Ale stołówki to dopiero jakie takie odżywienie dla samych robotników. Ich rodzinom zarobek pracujących nie może wystarczyć na możliwy byt. Patałną sytuację żywnościową Polski, spowodowaną przez zniszczenia wojenne, najsilniej odczuwa robotnik. W tej smutnej głodowej konkurencji stanąć może tuż obok nauczyciela szkół państwowych.

Jeśli pracujący robotnik je dziś ilościowo i jakościowo gorzej niż przed wojną, niezbyt pocieszające będzie stwierdzenie, że pije więcej.

Sześćdziesiąt lat metody wychowawcze niemieckich gwałcieli pozostawiły psychikę robotniczą prawie nietkniętą. Walka z okupantem wzmocniła jeszcze poczucie narodowe i społeczne robotnika, a wczorajsi sabotażyści dziś przodują w pracy. Jednym tylko mogliby się Niemcy poszczycić sukcesem, zamierzonym i realizowanym z pruską konsekwencją. Jest to zwycięstwo alkoholu, którym naród panów usiłował ujarzmić naród niewolników. Mimo nędznego wynagrodzenia robotnicy otrzymywali dość okazałe przydziały wódki. Obecnie naród panów łąsi się przymilnie do stóp radzieckich i anglo-amerykańskich zwycięzców, ale w Polsce na fabrycznych halach nieraz ostro powieje spirytusem, a pracujący uśmiechają się tak błogo, jakby zawartość ćwiartki z czerwona kartką zatopiła w nich na zawsze wszelkie troski. Zdarza się to zwłaszcza w zakładach takich jak na przykład huty szkła, które w zamian za dostarczone Monopolowi Spirytusowemu opakowania otrzymują przydziały wódki.

Przeciwstawiają się alkoholizmowi kierownictwa fabryk, borykają się z nim Rady Zakładowe, zastrzegając dyscyplinę pracy. Ale ciągle jeszcze w przedświąteczne dni wypłat, albo i w zwykłe robocze wieczory, o popielatym zmierzchu dudni po kulawych brukach robotniczych przedmieście nierówny krok, niosą się zachryple od wódeczanego szczęścia pieśni, grzmia przekleństwa za urojone zniewagi i z nieśmiałym rozżaleniem dogadują drepające pospiesznie kobiety, ciągnące przymocą „starego” do domu.

I na rojnej od elegantów ulicy śródmieścia zdarza się spotkać w jasny dzień zabłąkanego człowieka w roboczym ubraniu, który zapatrzone w jakąś, sobie tylko wiadomą pijacką rzeczywistość, ręce przed siebie wyciąga jak niewidomy, chyli się ku ziemi, lub raz po raz przytula do kamienicznych bram. Ale robotnicy w śródmieściu nie mieszkają, więc jest widok raczej rzadki. Robotnicy mieszkają ciągle bardzo źle.

Przed wojną warunki mieszkaniowe klasy robotniczej mocno były opłakane. A w czasie okupacji Niemcy, rezerwując wyłącznie dla siebie przywilej jasnych wnętrz, bieżącej wody, elektrycznego światła i wygody gazowych kucharek, wszystkich możliwie mieszkających ludzi pracy wygnali nie tylko na dalekie, niechlujne przedmieścia, ale często aż do podmiejskich odległych osiedli, różnych Wiczyzstych, Swosowicz, Kocmyrzowów czy Wieliczek. Kiedy indziej likwidowali zakłady pracy, a mieszkających w pobliżu robotników przenosili do fabryki na drugim krańcu miasta. Tak było z pracownikami Huty Szkła w Prokocimiu, którą Niemcy wysadzili bez troski w powietrze, bo wypadła im niefortunnie na szlaku budujących się torów kolejowych. Do dziś dnia robotnicy z Prokocimia wędrują codziennie dziesiątki kilometrów, aby wydymać szkło w hucie na Zabłociu za podgórskim mostem.

Po wyzwoleniu robotnik miał większe troski niż myślenie o własnym mieszkaniu. Główny i zmarny uprzątał fabryki, budował mosty, naprawiał kable i radził z towarzyszącymi jak uruchomić produkcję. Tymczasem w piękne mieszkania wkorzenieli się ci, dla których pojęcie wolności oznacza posiadanie lustrzanych wyfroterowanych podłóg i białej kafelkowej łazienki, a demokracja — to nieograniczona swoboda szabru, gromadzenia pieniędzy i złorzęczenia dzisiejszej rzeczywistości.

Niestawnej pamięci Komisja Mieszkaniowa, zawałona stertami podań ludzi niesłusznie skrzywdzonych i szczęśliwie krzywdzących, okłamywana, przekupywana i przeklinana — nie zdołała w niczym polepszyć sytuacji mieszkaniowej robotników.

Na nic się zdążyła hasła rzucane na robotniczych zebraniach: „wyrzucić szabrowników z mieszkań”. Szabrownicy i nieszabrownicy tkwią mocno w wielopokojowych komfortach śródmieścia, a robotnicy gniotą się na przedmieściach, w ciasnych, pozbawionych często wody i światła elektrycznego kłitkach, których mieszkalność usprawiedliwiona byłaby tylko wtedy, gdyby naokoło wznosiły się poszarpane mury zniszczonej Warszawy, czy czerwono-czarne obeliski wypalonego Gdańska, a nie nienaruszone kamienie miasta cudem ominiętego przez tajfun wojny.

Odległość między mieszkaniami a miejscem pracy robotników musi się odbić ujemnie na produkcji fabryk. Pracownik, który, by zdążyć na czas do pracy, wyrusza z domu, gdy gwiazdy błędne, a dociera z powrotem do rodziny dopiero, gdy księżyc jest wysoko na niebie, pokonując trudności uciążliwej drogi marnuje mnóstwo energii, która oszczędzona podniosłaby wydajność jego pracy. Przy tym środki komunikacyjne często zawodzą. Fabryki dysponujące własnymi autami przeznaczają niekiedy jedno na transportowanie robotników do pracy i z pracy.

Zagadnienie robotniczych mieszkań jest

problemem, któremu nie zaradzą ani Rady Zakładowe, ani dyrekcje, ani pracownicy. To kwestia, która rozwiązana być może tylko w skali państwowej. Rozwiązać ją trzeba czym prędzej, bo każdy dzień zwłoki hamująco wpływa na wytwórczość i marnuje siły robotników.

Przewrót społeczny w Polsce nie zdołał także, jak dotychczas, uleczyć jeszcze jednej piekającej bolączki fabrycznego życia: ciężkich i niezdrowych warunków pracy.

— Niechże pan spróbuje choć godzinę tak pokopać — wrzasnęli oburzeni robotnicy z fabryki gipsu, gdy delegat ze Zjednoczenia twierdził, że stawki ich płac są za wysokie. Wykopywali właśnie kamień gipsowy z zamrażniętej ziemi, a świszczący wiatr dmuchał im w twarz lodowate tumany śniegu. W lecie rozebrani do naga, pod uporczywymi promieniami słońca, w zimie okutani w fantastyczne zawoje szmat, kilofami wydłubując pokłady kamienia z błota i gliny.

— Walcer to ma pracę taką, jak nie przy mierzając pilot. Tylko ręką źle ruszy, albo fałszywie się przekręci, a już katastrofa. Siebie pokaleczy albo i innych — mówią robotnicy w walcowniach.

Niewiele robotników Gazowni zdoła dożyć lat emerytury. Przeważnie śmierć dogania ich już na półfinale życia, gdy płuca przeżrą trujące wyzwy gazu, lub sparalizuje na zawsze ostre przeziębienie. Gaz ten wdychają nieustannie w ciągu ośmiogodzinnego dnia pracy, obsługując piece o temperaturze 1250 stopni. W lecie z trudnością łapia oddech, w zimie pracują w odkrytych halach między paleniskiem buchającym żarem a mroźnym powietrzem wprost z dworu.

W emaliarniach, gwoździarniach, mydlarniach i lakierniach robotnicy oddychają zabójczymi dla płuc wyziewami kwasów, tłuśców, terpentyny i parzą sobie ręce żrącymi płynami. W fabrykach gumy krztusza się sadzą wytwarzającą się przy topieniu surowca, w hutach szkła rozdymają sobie płuca wydychając dzienne kilkadziesiąt butelek. W szlifierniach przez całe życie stoją po kostki w wodzie, a po fartuchach i ramionach spływają im strugi wilgoci spowodowanej nieustannym natryskiowaniem szlifierek, aby się zbyt nie rozgrzewały.

W tych warunkach brak ubrań ochronnych i potrzebnych zabezpieczeń, tak katastrofalnie dający się odczuć w powojennym okresie powszechnych braków — niejednemu życie skracą o cennych parę lat. Robotnicy pracują w dziurawych kaloszach, palce zamiast wkładać w rękawice ochronne owijają szmatami, na siebie wciągają jakieś dziwaczne lachmany różnobarwne, lecz zawsze wyblakłe i sfalczale — i marzą o zwiększonych porcjach chudego mleka, tej upragnionej odtrutki.

Dobrze, że choć w tym roku wreszcie zostało mniej więcej uregulowane na fabrykach zagadnienie wczasów robotniczych. Pierwszy raz od wielu lat pracownicy mogą wyzyskać kilkunastodniowe urlopy na pobyt w którejs z uzdrowiskowych miejscowości, płacąc 1/5 kosztów, gdy resztę pokrywa firma i Zjednoczenie. Przeważnie wybierają się do pięknych letnisk na Dolnym Śląsku. Są bardzo ostrożni. Nie dadzą się nabrać. W ciągu długich lat wyczerpującej pracy nauczyli się oceniać każdą godzinę wypoczynku. Nie chcą jej zmarnować. Naprzód dwóch najbardziej przedsiębiorczych jedzie na wywiad. Jak tam jest, jakie ceny, czy „da się żyć”. Dopiero po wysłuchaniu szczegółowych relacji inni decydują się na wybór.

Dzieci robotnicze rzadziej wyjeżdżają na wakacje. Ale fabryki organizują dla nich półkolonie. Pierwsi w Krakowie urządzili półkolonie robotnicy Elektrowni, wydzierzawiając obiekt gospodarzy na Łagiewnikach, tzw. „Leówkę” (dawniej własność prezydenta Krakowa J. Lea). Jest tam dom, zabudowania gospodarcze, ogród i parę morgów pola. Pięćdziesięcioletnie gospodarstwo niemieckich rabusiów, którzy hodowali tu kury, zniszczyło obiekt, dom zaś został uszkodzony w czasie działań wojennych.

Przez parę miesięcy chmurnej wiosny robotnicy sami naprawiali dachy, malowali ściany, porządkowali gospodarstwo i uprawiali ogród. Dnia 4 czerwca 45 r. setka rozgorączkowanych dzieci przyjechała tryumfalnie specjalnym tramwajem na Leówkę i odtąd już przez całe lato matki przyprowadzają swoje pociechy rano do Elektrowni, skąd pod opieką wychowawczyń dzieci jadą gromadnie na półkolonie, aby na noc znowu wrócić do domu. Opłata za dziecko raczej symboliczna: 2 zł dziennie, koszt utrzymania pokrywa Elektrownia. A utrzymanie jest nie byle jakie. Trzyienne posiłki obejmują mleko, masło, mięso, jaję, biały chleb, jarzyny, owoce. To, czego robotnicy sami sobie odmawiają w stołówce fabrycznej, jedzą dzieci na półkolonii.

— Jak przed wojną czasem w niedzielę, to my tu tak, niby nigdy nie, na codzień — chwala się dzieci.

Dochodzi się do Leówki poprzez błotniste glinianki i wyleniałe pagórki podmiejskich ugorów, na których kwitną rdzewiejące puski UNRRA i zmiażdżone czerepy jaj gotowanych na twardo. Dalej jest już miękka od kurzu droga polna między pieczołowicie okopanymi grządkami, po których pełzają pnąca ogórków, sterczą pierzaste pióropusze młodej marchewki, a kilkunastocentymetrowe wysadki pomidorów nie zdążyły się jeszcze przetulić do palików. I nagle znajdujemy się jak

gdyby w samym środku snu, który marzy się dzieciom w przeddzień upragnionego wyjazdu na wakacje. Rozłożyste drzewa przegładają się w lustrze stawu zmatowionym przez kocz zielonej rzęsy. Na trawnikach schnie niedawno skoszone, wonne siano, po którym tak dobrze jest się przewracać. Pachną piwonie i przekwitające róże, rozsypując po wygracowanych ścieżkach swoje wonne, wiotkie płatki.

— Już je słychać — mówi w podnieceniu główny organizator półkolonii, chudy, żylasty robotnik o szerokoustym uśmiechu księżniczki Pirlipatki z „Historii dziadka do orzechów” Dumasa. I pędem wbiega po rozchwianych płytach nierównych schodów do parterowego dworku z zielonym ganeczkiem. Za domem gromada dzieci rzuca się na niego z powitalnym piskiem. Są opalone, rozdokazywane, śmieją i wesołe. Bawią się piłką i w jakieś niezmiernie skomplikowane gry zespołowe, które nienawykłym oczom wydają się tylko oszalałym biegiem i konkursem przeraźliwego wrzasku. Skaczą po piasku, łążą po drzewach, gonią po trawnikach i huśtają się na huśtawkach. Poważni chłopcy, rozłożeni pod drzewami na trawie, czytają zaciekłe jakieś książki, a dziewczynki namiętnie plotkują ściubiąc pracowicie robótki. Nie ma w nich śladu trwóliwości i zahakania błędnych dzieci z suteryn. Z dumą pokazują ogród, inspekt i całe gospodarskie obejście, głaszczą rwącego się z łańcucha psa, który powinien być bardzo krwiożerczy a łąsi się doyle kogo i śmieje się z tłustych prosiaków, że akurat tak samo chrząkają jak jakiś tam Maniek, gdy się zdrzemnie po obiedzie i chrapie. W stajni łacie krowy o wypielegnowanej, lśniącej jak od brylantyny sierści przeżuwają leniwie pokarm.

— Chcieli je zarznąć dla stołówki w Elektrowni, ale zostały, żeby jeszcze przez lato dawać nam mleko — opowiadają z przejęciem młodsze dzieci, szeptem prawie, bo a nuż krowy zrozumieją i będzie im przykro.

— U nas to im wesoło. Nawet muzykę mają — dopowiadają już głośno a chełpliwie starsze dzieci. Bo megafon zdobyły same. Kiedy wydział instalacyjny Elektrowni zlekał z założeniem głośnika, mali obywatele półkolonii zorganizowali masówkę, która pod oknami Elektrowni krzykiem domagała się muzyki. Odtąd założony megafon ryczy na cały ogród ulubione piosenki dzieci.

— Całkiem mi ta kolonia dzieci odmienia. Nic, tylko by na tej Leówce chciały być. Leówka i Leówka — skarżą się niby robotnice, ale bardzo są rade, że dzieci tak dobrze wyglądają i nie trzeba się o nie kłopotać w ciągu całego dnia nieobecności w domu.

Za przykładem Elektrowni poszły i inne fabryki. Coraz więcej już jest dzisiaj półkolonii, a musi nadejść czas, kiedy każdy zakład pracy będzie miał swoją. Również wiele fabryk organizuje wyjazd dzieci na kolonie w górach lub nad morzem.

Gdy pożyłką ogrody, na klombach rozkwitną pompony liliowych astrów i pasma babiego lata wędrować będą przez uciszone jesienią powietrze — na półkoloniach zostaną tylko młodsze dzieci. Starsze zaczną chodzić do szkół.

Na podstawie instrukcji Ministerstwa Przemysłu przy większych fabrykach jak np. Solvay lub Wytwórnia Sygnałów Kolejowych tworzą się kilkuletnie szkoły zawodowe, które kształcą kadry młodych fachowców. Nierzadko mają one własne szkolne warsztaty. Również liczne są kursy dokształcające dla robotników posiadających już długi doświadczenie praktyczną, którym ukończenie kursu da, wraz z dyplomem, zasób wiadomości teoretycznych i umożliwi awans w pracy. W trzebińskiej hucie cynkowej Kurs Gospodarzenia w Przemysle kończył zarówno dyrektor, robotnik Pierzynka, jak i gołowiś lub siwołowi hutnicy. Ponad 15 000 młodych i starych robotników kształci się w Polsce na kursach i w szkołach fabrycznych. Na tych ludzi czekają fabryki, czekają maszyny, którymi mogą władać tylko doskonale wprawne ręce i jasne mózgi, czekają zdziesiątkowane przez lata



JÓZEF MIKA
(Fabryka wyrobów szklanych „Spectrum”)

mordu i głodu szeregi fachowców, którym bardzo już potrzeba pomocy i wypoczynku.

W żmudnie powtarzającym się trudzie rozpędzonych dni chwile wytchnienia i rozrywki mają dawać robotnikom świetlice fabryczne. Niektóre, ślicznie udekorowane przez samych robotników, spełniają swoje zadanie. Odbywają się w nich zebrania i odczyty, czasopisma są zupełnie „wyczytane“, gra donośnie wielolampowe radio, albo też z przejęciem ćwiczy ktoś na pianinie, a gazetka ścienna prócz artykułów i aktualności zamieszcza nawet konkursy. Np. fotografie fragmentów architektury Krakowa. Kto odgadnie, skąd to jest? Do skrzynki, umieszczonej poniżej tablicy, sypią się karteluszki z odpowiedziami.

Ale są świetlice zupełnie martwe. Wzorowo wysprzątane na codzień, jedyną chwilę świetności przeżywają w dniu dorocznej zabawy.

— Na kursie świetlicowym uczyli, żeby ożywić świetlicę. Jak tu ożywić, kiedy nikt przyjść nie chce. Każdy po pracy zmęczony, czym prędzej do domu się zabiera — skarży się bla-

da świetliczanka i ściera kurz z plików porządnie złożonych gazet.

Im fabryka biedniejsza i gorsze warunki bytu pracowników, tym mniej jest czasu na odpoczynek, tym mniej chęci do rozrywki.

Chronicznie cierpią świetlice na brak książek, 500-tomowa biblioteka to rzadki luksus, którym pyszni się cała załoga. Bo choć robotnicy chcą czytać, wobec niezmiennie wysokich cen książek Rady Zakładowe decydują się raczej na dodatkowy zakup chleba do konsumu, niż na powiększenie biblioteki.

Nie zrujnowałyby się firmy wydawnicze i księgarnie, gdyby udzieliły rabatu bibliotekom fabrycznym, aby książka przestała być wreszcie przywilejem ludzi najedzonych.

— Czy ty znasz tego pana, co tak ci te literki ułoży, że w gazecie masz tak samo jak napisałaś w zeszycie — spytała mnie raz znie-nacka mała, długonoga dziewczynka z dołeczkiem w brodzie i z włosami śmiesznie spiętymi na czubku głowy.

KORNEL FILIPOWICZ

ŚNIEG

Spodziewaliśmy się, że Sawa wyznaczy na swoje zastępstwo jednego z tych urzędników doświadczonych i skrupulatnych, który dawałby mu gwarancję zachowania jego linii władzy i stylu obcowania z ludźmi. Siowem że odnajdzie jakiegoś drugiego siebie. Nic dziwnego, że w dniu poprzedzającym jego wyjazd kancelaria kierownictwa kamieniołomów roila się przez cały dzień od postaci pozujących w jego stylu (z malpiarstwem być może nie tak całkiem świadomym), podających mu teczkę do podpisu, gdy tymczasem dziennik zarządzeń był już w drodze, wieszony przez woźnego na ostatnią kopalnię, od której zwykle zaczynał kurendę. W dzienniku Sawa wypisał własnoręcznie, drobnym, gorliwym pismem, że od dnia jutrzejszego począwszy obowiązki kierownika kamieniołomów, w zastępstwie, pełnić będzie Jan Borecki.

Kolacja, którą spożywalimy u tutejszego nauczyciela (jego żona prowadziła stołówkę dla samotnych urzędników), upływała pod znakiem niespodzianki, jaką sprawił nam Sawa. Jadaliśmy tam w składzie nie mającym na szczęście ambicji piastowania urzędu pod nieobecność kierownika, a niekiedy, jak doktor Łączyński, nasz lekarz zakładowy, nie mieli z administracją nic wspólnego. Obecność Boreckiego nie przeszkadzała nam wcale w perwersyjnych dociekaniach na temat decyzji Sawy. W bezinteresownej atmosferze tej kolacji powstała wówczas koncepcja przekazywania władzy, popierana żartobliwie przez samego Boreckiego. Otóż według niej, Sawa jako człowiek, mimo swej bezgranicznej dokładności i sumienności słaby, nie miał zaufania do tych cnót, gdyby był obdarzony nimi kto inny, nie on... Wolał postawić pod swoją nieobecność na całkowitą antytezę swojej natury, Jana Boreckiego. Zeszliśmy w końcu na swobodne obgadywanie Sawy, nie o wiele na pewno wyszukawsze od rozmów, jakie prowadzono na jego temat dzisiaj pod wieloma dachami osiedla robotniczego, na które już od południa padał wilgotny śnieg, układając się spokojnie w gęstej, bezwietrznej pogodzie.

Gdy wyszliśmy przed dom, aby zapalić papierosa, Borecki zauważył, że zdaje się jedyną czynnością pod nieobecność Sawy będzie pilnowanie, aby nas tu nie zasypało i że trzeba będzie jutro od rana puścić płużek z ciągówką po wąskich torach.

Stojąc pod okapem, osłaniającym nas od wilgotnej ściany śniegu, w nader niedogodnym miejscu, usłyszeliśmy z jego ust ponurą nowinę. Opowiedział nam ją swoim zwyczajem, tym beznamiętnym głosem, przegrodzonym pociągnięciami papierosa. Było to miejsce, na które się natknął przypadkowo, wyprawiając się w powrotnej drodze z kopalni Wielka Jabłonka, na polanę znaną nam wszystkim dobrze, nazywaliśmy ją polaną maślaków. Leżała ona o niecały zaledwie kilometr w bok od najdalej wysuniętej od krywki, oddzielona od niej lasem zaledwie kilkusetmetrowej szerokości, lecz tak dziłkim, jakby posuwająca się w tą stronę kopalnia zegnała weń całe poszycie, krzewy i młódz sosnową, uciekającą przed piłą i oskarżeniem. Borecki, z siekierą pod pachą, położył na tę polanę z zamiarem wycięcia jodełki na choinkę. Od chwili padał drobny śnieg. Nie był tu od lata, ale widok zdawał mu się przeinaczony w jakiś zastanawiający sposób, jakiś inny niż tego dokonuje zima. Na polanie nie było już tego idealnego ładu w zestawieniu z wzorowym obrazem, jaki się zachowało pod powieką, być może, że wrażenie pochodziło z ledwo dostrzegalnej różnicy powierzchni, jaka powstaje po uderzeniu granatu, a potem zasypaniu leja, nawet najbardziej dokładnym. Miejsce to leżało w okolicy samotnego buka, obwieszzonego szczyłymi liśćmi. Borecki do-brnął tam, potykając się o przegięte pod śniegiem gałęzi i przystanął. Drobny śnieg, którego cienki szelest słyszalny był dla ucha człowieka samotnego, o napiętych jak u zwierzęcia zmysłach, padał, pogrubiając proporcjonalnie wszystkie linieokoła. Dopiero na głos sikorki, która nagle zadzwoniła przy-

siadłszy na gałęzi buka, podniósł wzrok i wpa-trzył się w pień drzewa. Był podarty kulami jak tarcza strzelnicza. Zrozumiał w tej chwili wszystko, mimo że nad hukiem wystrzałów zamknęło się dawno powietrze. Tylko pod śniegiem chrzęściła rozkopana, zmarznięta na grudę glina. Rozgarnawszy go butem, napotkał w głębokiej warstwie, jak w pokładzie minionej formacji, czerwoną, nasyconą krwią bryłę.

Rozchodziliśmy się tego wieczoru do swoich domów, brnąć ciężko w śniegu, sięgającym już blisko kolan, myśląc o tajemnicy, jaką nam powierzył Borecki, zastanawiając się nad formą, w jakiej to zrobił; wzruszała nas w jakiś pozarozumowy sposób samym tylko smakiem wzruszenia, dalekim od tego rzeczowego, przedmiotowego lęku, jaki moglibyśmy odczuwać, ujrzawszy na własne oczy to miejsce egzekucji. Być może, dzięki ziemie właśnie, nie mogliśmy zrozumieć rzeczywistości tego niedalekiego zdarzenia; oddzielała nas bowiem od ziemi gruba warstwa śniegu, sprawiając, że nawet śmierć nie była łatwa do pojęcia. Zresztą był dopiero pierwszy rok okupacji. Nie czuliśmy jeszcze tak dotkliwie ucisku niewoli. Nie wrosła jeszcze w nasze życie zbyt głęboko. Były szczęśliwe okolice, odległe od miast, jak nasza, gdzie nie docierało jeszcze gestapo.

Śnieg padał ciągle, bez przerwy z niekończących się w górze rezerw. Czubek jedynej, niebotycznej sosny, o podkrzesanym wysoko pniu, pozostawionej tu pośrodku kolonii jak sztandar na maszcie, ginał w gęstniejącej ku górze białej zanieci. Pierwszy dom z brzegu osiedla jarzył się osłepiającym światłem acetylenowych lamp. Mieszkała tam obsługa niemieckiego wojskowego kompresora, pod dwództwem młodego gefreitra, Karla Iltza, byłego studenta konserwatorium, pozwalającego się chętnie tytułować poza służbą inżynierem. Widać było przez okno ich tornistry wiszące rzędem na ścianie i karabiny spoczywające w stojaku. Prezent ten dostaliśmy od powiatowego zarządu dróg, który nasze ciągle tłumaczenia niedostatecznej produkcji kamienia brakiem kompresorów, przyjął za prawdziwą monetę. Obecność ich nie przeszkadzała nam wcale, owszem strzegła nas od otwartego zarzutu sabotowania produkcji, gdyż ich obsłu-

— Oczywiście, że znam. To się dzieje w drukarni. Tam wielu panów pracuje.

— A jak się nazywają — nie dowierzała mi i widocznie chciała sprawdzić, czy nie kłamie.

— Np. pan Popielak, pan Hubisz, pan Kostrz i dużo innych.

— I tego pana, co ci pióro-samopisek zrobił też znasz?

— Nie.

— A puderniczkę?

— Jakże mam znać, przecież to się w sklepie kupuje. Skąd mam wiedzieć, kto to robił? — Jednak lepiej by było wiedzieć — po namyśle szepnęła mała, mrugając czarnymi rzęsami i natychmiast zaczęła się sama ze sobą bawić w dziecko, które zagubione podczas powstania odnajduje po wielu przygodach swoją mamę.

Za parę lat komiczny strącek włosów na głowie dziewczynki ułoży fryzjer w kunsztowne fale, paniątka będzie miała już własną puderniczkę, dzisiejszy „samopisek“ nazwie

wiecznym piórem i nic jej nie będzie już obchodzić drukarnia. Jeszcze później być może własne dzieci będą jej zadawały te same pytania, które uzna za nieważne i nie będzie umiała na nie odpowiedzieć. Bo tak już jakoś jest, że dziecko często objawia więcej zainteresowania procesem wytwórczości niż przeciętny inteligent, któremu na myśl nie przyjdzie, że „lepiej by było wiedzieć“.

Odległość, która dzieli inteligenta od robotnika, nie jest bynajmniej przepaścią niechęci. To tylko bezdenna otchłań niewiedzy. A przecież nasze życie tak bardzo zależne jest od świata wytwórczości, tak nierozzerwalnie związane jest z tą wspaniałą krainą wysiłku i wyrzeczenia, gdzie rządzą stałowe prawa logiki, gdzie wszystkie zagadnienia zalegają się o siebie, tworząc konsekwentne łańcuchy przesłanek i wniosków, a mozolna praca związała ludzi na zawsze pięknym węzłem wspólnoty i nauczyła zdrowego sensu realnej rzeczywistości.

Maria Jarochońska

rysunki Edwarda Głowackiego

ga, przywykła do miękkiego materiału, jakim jest węgiel, a wyszkolona w wojsku w minowaniu prostych obiektów, nie umiała sobie dać rady z naszym dzikim, kapryśnym kwarcytem, tępiąc i łamiąc ciągle wiertła na twardym i zmarzniętym kamieniu.

Stosunki między nami a Iltzem, po pierwszym okresie wzajemnego zainteresowania się, ułożyły się na obojętnym dystansie. Ten młody Niemiec zrezygnował prędko ze swojej roli przedstawiciela kultury zachodniej, odkąd przekonał się, że ma do czynienia z wykształconymi geologami, inżynierami i lekarzem, którzy poza tym wszystkim co on wiedział, a co ukazywał nam zawsze obleczone w dostojną szatę nauki i niezachwianej pewności, — odstraszały go jeszcze jakąś niepojętą, jego zdaniem niepoważną właściwością umysłu. Z Boreckim pokłócił się na przykład kiedyś (o ile można w ogóle tak nazwać rozmowę, w której jedna strona ubrana była w mundur okupanta) na temat grywanych często na skrzypcach sonat Beethovena. (Jego koncerty dawane w sobotnie popołudnia u sosenowego pulpitu, przy otwartym szeroko oknie, nazywaliśmy żartobliwie racjonowaniem sentymentu). Borecki wyraził się o nich, że to jest „niemiecki Beethoven“, co musiało Iltza boleśnie dotknąć, tym dotkliwiej, że nie zrozumiał dosyć wyraźnie szyderstwa kryjącego się poza tymi słowami.

Pożegnaliśmy się z lekarzem, który wstąpił odwiedzić syna jednego z naszych górników, chorego na zapalenie opon mózgowych. Od trzech dni doktor Łączyński przesadywał tam po kolacji długie godziny, kryjąc nawet przed nami przyczynę specjalnego zainteresowania, jakim otaczał chorego. Borecki widział w tym powikłany spłot ambicji i odpowiedzialności, nasz stary geolog inżynier Jaźwiec nazywał doktora Łączyńskiego człowiekiem młodym (był rzeczywiście jeszcze bardzo młody, miał 25 lat), pozwalając się nam domyślać już dalej samym, co wiek ma wspólnego z doświadczeniem.

Nazajutrz, w wigilię, mimo że staraliśmy się te pół dnia zepchnąć jak najprędzej poza siebie, odkładając akta i ucinając rozmaite sprawy, jak na złość piętrzyły się ich coraz więcej i to takich drobnych, nagłych, nie dających się nie załatwić. O dziesiątej przy-

biegł doktor Łączyński w narzuconym na kitel płaszczu, rozsunał robotników czekających na akceptację zaliczek i wszedł do Boreckiego. Rozmawiał z nim krótko: Potrzebuję natychmiast podwoły, jego chory ma najprawdopodobniej tyfus, a mimo że nie jest tego całkiem pewien, wolałby nie przekonywać się o tym tutaj na miejscu. Borecki pchnął gońca po szarwarkowe konie do gminy, a naszą fabryczną parę kazał zaprzęgać natychmiast do sań. Czwórka koni, to nie było za wiele jak na przeszło czterdziestokilometrową drogę do miasta, po której już od wczoraj nie jeździły auta niemieckie.

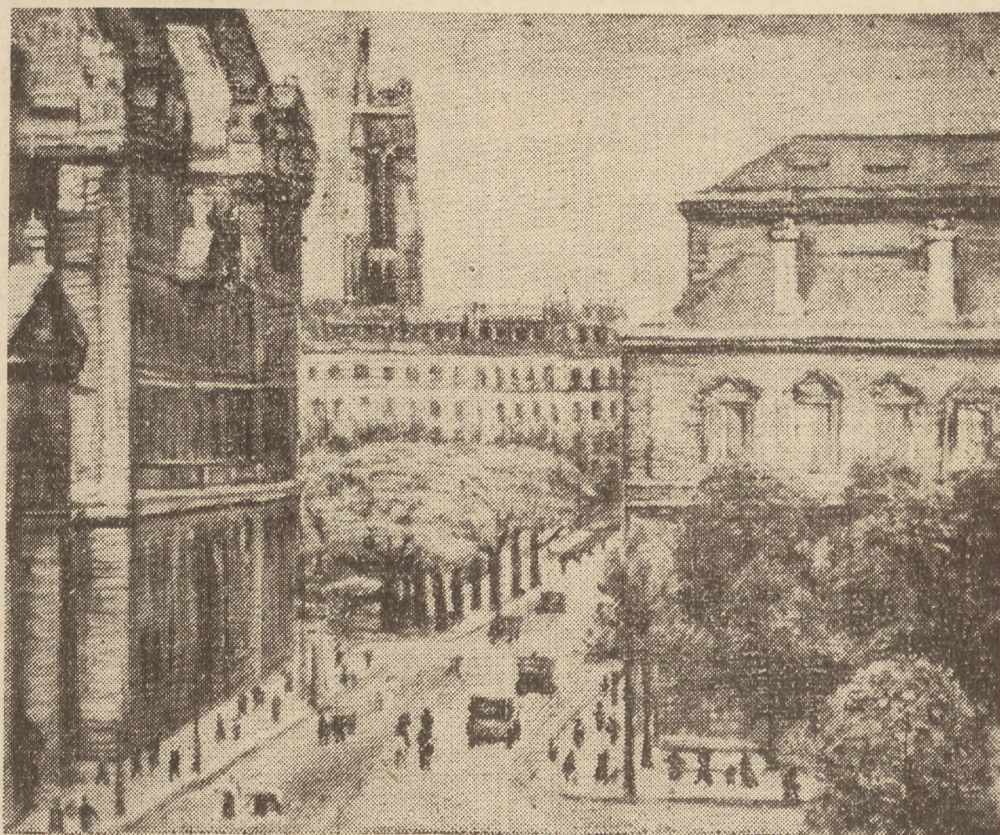
Łączyński wyszedł, uwiadomiwszy nas, że do wigilli u nauczyciela siada się o szóstej, a co do spirytusu, to możemy na niego liczyć. W drzwiach minął się z gefreitem Iltzem, który wszedłszy, kazał się cofnąć dwóm robotnikom, podchodzącym w kolejce. Postąpił trzy kroki na środek i nie zdejmując czapki zasalutował, rzucając głowę naprzód w stronę Boreckiego a potem naszą. Była to złowróżbna nonszalancja. Borecki podniósł się na wpół od biurka. Iltz zrobił coś w rodzaju spoczyn i odpiął rękawiczki, złożony był w jednej ręce. Naprawdę oczekiwaliśmy czegoś groźniejszego od tego, co nastąpiło:

On, gefreiter Iltz, odpowiedzialny za zdrowie swoich żołnierzy, zapytuje się, co zamierza przedsięwziąć kierownictwo kamieniołomów w związku z wypadkiem tyfusu w osiedlu. Wyrecytowawszy to, zrobił pełne spoczyn. Przez twarz Boreckiego przebiegł, jak szybka wesoła chmurka, jakiś przekorny wyraz. Wyprostował się i tonem najbardziej swobodnym, na jaki stać Słowianina posługującego się obcym językiem, wyliczył mu wszystko, co mu ślina na język przyniosła. W czasie jego odpowiedzi Iltz poprawiał ułożenie swoich nóg dążąc do znalezienia pozycji tak trwałej jak posąg i zakończył swoją wizytę uwagą, że armię niemiecką obchodzi, w większym stopniu niż nam się zdaje, stan zdrowotny ludności polskiej. Była to tak nieszczelnie zasłonięta pogroźka, że gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, wybuchaliśmy śmiechem, jakimś suchym, powściągliwym, czymś w rodzaju obszczekiwanie rzeczy, która sama w sobie nie była jednak śmieszna. Skończyło się na konferencji Boreckiego z doktorem dla uzgodnienia akcji papierkowej; urządzono wywiesić na domu owego górnika wielki arkusz z dwujęzycznym napisem, ostrzegającym przed niebezpieczeństwem tyfusu, coś bardziej widocznego niż kartka, którą przyszpilił tam doktor, powiadomić kogo trzeba w mieście i zredagować zarządzenie izolacyjne dla domowników.

Dopiero pod wieczór spotkaliśmy się u nauczyciela na wigili. Czekając na kolację, którą jego żona przygotowywała, biegając z zaferowaniem z pokoju do kuchni i z powrotem, z kobietą niezaradnością nie mogąc znaleźć chwili, w której stół osiągnie już ostateczną doskonałość — obgadywaliśmy bieżące zdarzenia, kołując i nadając im sztucznie nadzwyczajną treść, gdy właściwie sensem dzisiejszego wieczoru było to, co obchodziliśmy dookoła, bojąc się własnych wzruszeń. Rozmowa — ta dziwna czynność oddalająca nas od przedmiotów, — była zawsze naszą ucieczką, ilekroć czuliśmy, że skazani na intensywną samotność po dniu pracy, jesteśmy bliscy wykrycia jakichś nieznośnych prawd. Dziś — przechodziliśmy sami siebie. Były momenty, kiedy Borecki, w obronie własnej, widząc jak doktor przedzierga się w jego wolteriański kostium, gotów był osłaniać się katolicyzmem, jak szermierz zamieniający broń, aby ją lepiej wypróbować.

Mówiło się o Sawie, wojnie, Iltzu, robotnikach, okolicznych ziemianach i ożywieniu się transportów wojskowych na linii kolejowej, śniegu i spadku produkcji; o wszystkim, w czym uczestniczyliśmy siedząc tu na tym odludziu, a także o tym, na co nie mieliśmy wpływu, a co spełniało się na dalekim świecie. Borecki porzucał na koniec obronę cudzego stanowiska począł zastanawiać się

MALARSTWO POLSKIE



ZYGMUNT WALISZEWSKI (1898—1936)

Rue et Tour St. Jacques

ciężnego człowieka jak on, dochodząc do wniosku, że jest to rozszerzenie możliwości rozporządzania własną śmiercią na niekorzyść życia — czy coś w tym rodzaju, wywołał jednak natychmiastowy sprzeciw inżyniera, niezbyt skorego do przyjmowania takich uproszczonych, cynicznych formułek. Zaczął wywodzić rozległe dygresje na temat swoich przeżyć sprzed lat czterdziestu, młodości sięgającej czasów niewoli carskiej, spierając się ostro o porównania. Był zwolennikiem oszczędzania sił dopóki się da, oporu moralnego zamiast pogotowia krwi. Na tym punkcie stał się z Boreckim, który słabo, lecz z akcentem źle ukrywającym prawdziwe przekonania, bronił tego, jak nazywali, „pogotowia krwi”, dającego w każdej chwili, dzięki napięciu, gotowość do zrywu.

Wreszcie poproszono nas z zażenowaniem do stołu. Pośrodku, jak stożek utoczony z najczystszej kryształ, lśniła butelka spirytusu, ufundowana przez doktora, w którą, po zjeźdzeniu barszczy, czekając na gołąbki, wlepiliśmy z ufnością wzrok. Ale nie pozwolono nam jej dzisiaj napocząć.

W jakiejś chwili usłyszeliśmy rumor pod kuchennymi drzwiami, czyjeś głosy i żona nauczyciela wsunęła głowę do pokoju prosząc doktora. Wrócił za parę sekund w płaszczu objaśniając nas, że wzywają go do założenia opatrunku i spodziewa się za kwadrans być z powrotem. Postanowiliśmy poczekać na niego. Borecki zauważył, że jest gorąco i zaproponował otwarcie okna. Wychylił się w chłodną ciemność wydmuchując dym z papierosów, który jednak wracał uporczywie pod naszymi łokciami do środka. Śnieg padał ciągle, było go już wszędzie dokoła w takim nadmiarze, że chwilami zdawało się, jakby strugi poczynęły płynąć w odwrotnym kierunku, z ziemi do nieba. Na drodze, biegnącej środkiem podwójnego rzędu drewnianych domków osiedla było pusto, okna rzuciły ostry blask na wały śniegu obejmujące chodniki i przejścia między domami. Poczucie wyłączonego tego wieczoru, dawne jak nasze dzieciństwo, opadło nas w sposób przykry. Najgorsze w tym oczekiwaniu było to, że czekaliśmy właściwie na rzecz, której mogliśmy pozbyć się tylko w ten jedyny sposób — odbywszy ją. Uniknąć jej nie dało się i nawet Borecki, który zwał zał apologetykę doktora Łączyńskiego, ilekroć rozmowa zeszała na te tory i uchodził w naszych oczach za kompletnego niedowiadka, uważał wagilię za torturę wzruszeń, której trzeba się poddać raz na rok.

Inżynier Jaźwiec spojrzawszy na zegarek stwierdził, że od chwili odejścia doktora minęło dwadzieścia minut i że go coś nie widać. Zamknawszy okno, porozchodziliśmy się więc po pokoju, oglądając po raz któryś fotografie na ścianach i malowidło wykonane, jak nas kiedyś nauczyciel objaśnił, przez wędrownego malarza. Przedmiot ten wzruszał nas zawsze niebystwo i pobudzał do sprzeczki. Nie było w nim nie humorystycznego, mimo guliwrowskiego pomieszaną proporcję. Drobnego człowieka, stojący z odchylnym łokciem na małej łodzi wynurzonej z szuwarów przestających go dziesięciokrotnie, wznoszących się wokół jak bambusowy las, strzelał do kaczki, ogromnej i nieforemnej jak kopalny pterodaktylus, rysującej się wyrazście na beczmurem niebie. Lecz tym razem brakowało doktora, który zawsze gotów był podtrzymać różnicę zdań. Usłyszeliśmy natomiast głośne pukanie do drzwi wejściowych, potem dość nieoczekiwanie niemieckie słowa w kuchni i zjawił się, po raz już drugi tego dnia, gefreiter Karol Iltz. Miał czerwona i rozluźnioną twarz, jakby po wypiciu wódki i jakiś nieokreślony nieład w sposobie poruszania się. Inżynier Jaźwiec wziął to widocznie za nieśmienie z powodu wtargnięcia w nasze prywatne życie, zrobił łagodzący ruch ręką w kierunku krzesła i powiedział „bitte”. Ale Iltz odpowiedział to jedno z niewielu słów, jakie inżynier umiał. — „Ach nie — panie Borecki, poproszę pana na chwilę — tamci panowie?” Borecki odpowiedział na to krótko: „Proszę”, — wobec czego Iltz odwrócił się od nas o pół obrotu, w kierunku Boreckiego. Usłyszeliśmy dosyć głośno wypowiedziane słowa, którymi krztusił się, aby ich za przędko nie wyrecytować:

— „Przed pół godziną, jeden z pańskich podwładnych znieważał czynnie armię niemiecką. Pan, jako odpowiedzialny za porządek na terenie tutejszego przedsięwzięcia, proszony jest o stawienie się — (tu spojrzął na zegarek, co nas znacznie uspokoiło) — za dziesięć minut w biurze kamieniołomów, celem omówienia sposobu załatwienia tej niewagi”.

Popatrzyliśmy na siebie, oczyma biorąc się za świadków głupiej sytuacji. Gdy po odejściu Iltza w drzwiach stanęła żona nauczyciela, z bezzadnie zaplątanymi w ścierkę dłońmi, Borecki tkwił jeszcze w tym samym miejscu, rozmierzając palcami papieros. „Niech pani pokaż wreszcie te gołąbki” — powiedział do niej trochę niegrzecznie, lecz po chwili schował papieros do kieszeni i wrócił do stołu.

— „Pozwoli pan mu czekać? — zapytał inżynier Jaźwiec niespokojnie, patrząc spoza okularów autorytetem swoich sześćdziesięciu lat. — To niebezpieczne, oczywiście dla pana”.

Borecki roześmiał się: — „Dla mnie te 10 minut, to jest zwrot czysto retoryczny i oznacza, że sprawa jest, jakby to powiedział doktor, „ostra”; jednak nie

mam zamiaru spóźniać się w jakiś demonstracyjny sposób, choćby już dlatego, że jestem piekielnie ciekaw o co chodzi”.

Gołąbki miały smak młodości i jedliśmy je z tą samą niecierpliwością tamtych lat, połykając po pół, tylko inżynier odwijał je z listków i mieszał z sosem grzybowym. „Nie bardzo dokładnie wiem, o co mu chodziło, temu gefreiterowi”, — powiedział odkładając widelec, — „z zachowania wyglądało trochę na sprawę honorową”.

— „Tak, to wygląda na sprawę honoru” — przekreślił jego słowa Borecki, wkładając w kuchni płaszcz.

Wyszliśmy, zapaliliśmy wszyscy trzej papierosy od jego zapalniczki. Śnieg leżał powyżej kolan, trzeba było iść gęsiego wąskimi przejściami, między dwoma białymi zwałami, piętrzącymi się po obu stronach chodnika. Koło kwatery obsługi kompresora przechadzał się wartownik z dłońmi zanurzonymi w rękawach baranicy. Zrywał się wiatr, chwilami śnieg przestawał zupełnie padać, pozostawiając za sobą długą smugę szumu, płynącą przez konary samotnej sosny. W biurach kamieniołomów świeciło się. Przystanęliśmy na chwilę, ale Borecki odwrócił się i powiedział: „Wejdźcie panowie, poczekacie w oddziale technicznym, jeśli się będzie upierał, aby rozmawiać bez świadków”. W kancelarii, odwrócony do nas plecyma, czekał już Iltz, oglądając wielką mapę powiatu, wiszącą na ścianie. Nie życzył sobie naszej obecności, więc otworzyliśmy biuro techniczne, a inżynier Jaźwiec zaczął grzebać w szafie z planami i prospektami. Po paru minutach wszedł nieoczekiwanie doktor Łączyński, zamykając za sobą szczelnie drzwi. Inżynier podniósł palec do ust a potem wskazał na drzwi do kancelarii.

— „Wiem, wiem, — mówił mi już stróż w korytarzu. Szukałem was u nauczyciela, wracając. Otóż wezwano mię do Kacperka, tego hamulcowego z rampy przeładunkowej. Cały jest posiniaczony, jakby się na niego zwał wóz kamienia. Na szczęście nie groźniejszego, poza rozciętą skórą koło ucha, na którą musiałem założyć dwa ścięgi. Oczywiście domyślać się już związku. Z tego co mi Kacperek opowiadał, to wyglądało mniej więcej tak: Wracał od rodziców swojej żony, nie tak całkiem na sucho, chociaż przyznam się, że nie spostrzegłem żadnych, jak to się mówi, przedmiotowych objawów upicia się — wypili pewnie parę kieliszków, tyle właśnie, ile trzeba było do przedłużenia w sposób niebezpieczny chwili mijania się w ciasnym chodniku między dwoma ścianami śniegu. Wątpię, żeby się tam odbyła jakaś bijatyka. Po prostu Iltz skoopał go jak psa”.

— „Prawdę mówiąc, to dziwię się, że nie strzelał...”

— „Otóż właśnie; istnieją według mnie tylko dwie przyczyny, dla których tego nie zrobił: nie miał przy sobie broni, — lub też miał, ale nie użył jej bojąc się, że nie wyjdzie stąd żywy razem ze swoim „mannschaftem”. Pomyślcie, śniegi są takie, że nawet ja zrezygnowałem z pójścia jutro do kościoła. Musiałbym te sześć kilometrów wyrabiać sobie ścieżkę na przełaj, w śniegu po pas. Ale dobrze, że tak się skończyło”.

Rozległ się stuk drzwi i szybkie kroki oddalające się korytarzem. W tej samej chwili Borecki wszedł, rozsunął papiery na stole kreślarskim i siadł na nim wpatrując się uporczywie w doktora.

— „Czego chciał?” — spytał się inżynier.

— „Widzę, że już wiecie wszystko. Otóż gefreiter Karl Iltz żąda, aby Kacperek przepraszył go w mojej obecności za napaść. Termin — jutro godzina dwunasta w południe, w przeciwnym razie złoży telefoniczny meldunek za pośrednictwem swojej jednostki do Geheime Staatspolizei, wskazując, poza Kacperkiem, moją osobę jako odpowiedzialną za ten incydent. Dodał mi jeszcze coś o honorze armii niemieckiej, wykreślił się na pięcie i wyszedł. Trzeba wam było widzieć tego smarkacza, tego studenta konserwatorium z Kolonii czy gdzie tam, jak zachłystywał się recytując swoją rolę, przypominając mi...”

— „Dobrze, że na tym się tylko skończyło” — przerwał mu inżynier.

— „Skończyło? — panie inżynierze, mnie się zdaje, że to się dopiero zaczęło, czy pan jest tak całkiem pewien, że Kacperek zechce go tu, w kancelarii zarządu, w mojej obecności, przeprosić? — bo ja nie bardzo”.

— „Przepraszam panie Borecki, ale ja myślałem, że pan jest mądrzejszy”.

— „Proszę bardzo. Proszę sobie nie wyobrażać, że namawiałbym Kacperka do tego — nie mówiąc już w ogóle o tym, czy potrafiłbym go do tego zmusić. Z tego co powiedział Iltz, to Kacperek zamiast ustąpić mu miejscem zaatakował go, dosłownie tak się wyraził, „czynnie”. Nie pytałem się oczywiście, na tym to polegało. Nie mam na tyle poczucia humoru, aby w okolicznościach, w jakich się odbywała nasza rozmowa, zapytać się, czy został przez Kacperka potrącony, czy też prowokacja polegała tylko na jakimś podejrzanym błysku oczu. Być może, że to właśnie Iltz zaatakował go pierwszy, ze strachu, który jak mi się zdaje, dyktuje często Niemcom takie odruchy. Zresztą nie zdaje mi się to ważne w tej historii. Nie będę szukał żadnych sposobów załagodzenia jej przez dochodzenie przyczyn. Sprawa zaczyna się w tym miejscu, gdzie została sformułowana przez tego nie-

mieckiego gefreitera. Jesteśmy podbici przez jego kameradów i nic nam na razie nie zostało na obronę prócz honoru, którym musimy wyrównywać różnice pozycji, jakie stworzyła przegrana wojna we wrześniu. Postawię wszystko na Kacperka. Rozumiecie przecież, że w tym zdarzeniu władza należy do Kacperka, a nie do mnie. Jeśli jej nawet nadużyje, to tylko w najlepszym znaczeniu — kiedy ja natomiast...”

— „Pański patos rozczuła mnie — przerwał inżynier ukazując wyblakłe żrenice i wyschnięte powieki — i staram się go odczuć, niestety mam już dwa razy tyle lat co pan i śmierć wydaje mi się czymś bardziej prawdopodobnym niż trzydzieści lat temu, co jest całkiem naturalne...”

— „Dlaczego to pan tak owija w bawełnę. Po prostu boi się pan śmierci dla siebie, dla mnie, czy w końcu dla nas wszystkich. W tej awanturze jedynie tylko moja rola byłaby niejasna, gdybym zechciał użyć władzy, jaką mi Sawa wyjeżdżając obdarzył, gdybym jej zechciał użyć w taki sposób, jaki by tego sobie życzył ten żołnierz niemiecki. Bo jak to panowie sami rozumiecie, do moich obowiązków należy ogólny nadzór nad wydobyciem w trzech kopalniach. Za co i przed kim jestem odpowiedzialny, to też wiecie. Całkiem inną sprawą jest już odpowiedzialność za człowieka poza służbą. Ten gefreiter zrobił sobie po prostu ze mnie zakładnika, o tyle wygodnego, że zapewniającego mu, jego zdaniem, dzięki władzy nad ludźmi, podwójne zabezpieczenie. Chcę mu dowiedzieć, że się pomylił”.

— „Cóż wie pan zamierza zrobić?”

— „Zawiadomić Kacperka o terminie, jaki mu Iltz naznaczył. Nic więcej”.

Powiedziawszy to, musiał się Borecki poczuć bardzo samotny, gdyż zapalił papierosa i wyszedł na chwilę do korytarza zapytać się stróża, czy nie było jakich telefonów wieczorem. Zaczęliśmy powoli ubierać się, dopytując się o Kacperka. Jakże niewiele umiemy powiedzieć o człowieku, którego się znało wprawdzie, lecz od tej strony, która okazuje się całkowicie bezużyteczna w momencie, gdy staramy się przewidzieć jego postępek. Zналиśmy jego małą czarną sylwetkę, uwijającą się na ruchliwej rampie przeładunkowej, przychodził uśmiechnięty po wypłacie do biura. Musieliśmy w końcu przyznać, że nie wiemy o nim nic więcej niż to, co może ukazać na przykład migawkowe zdjęcie jakiegoś obcego człowieka znalezione w parku pod ławką. Inżynier Jaźwiec objawiał niespokojne zainteresowanie osobą Kacperka jak ktoś, kto nagle dowie się, że jego ubogi krewny, znany tylko z nazwiska, został dajmy na to ministrem. Było coś żenującego w jego grzebaniu w pamięci i znajomościach, aby stworzyć z nich na poczekaniu kształt człowieka, którego należało się bać lub może całkowicie mu zaufać. Inżynier musiał w końcu stwierdzić z przykrością, że jedynie słowa Kacperka, jakie słyszał w ciągu rocznej pracy na swoim stanowisku, odnosiły się do pewnej przykłej rozmowy z robotnikami, gdzie szło o stawki akordowe, a w której Kacperek miał się wyrazić w ironiczny sposób, że człowiek i tak pracuje za darmo, a w dodatku jeszcze na własną szkodę. I że inżynier powinien jego zdaniem lepiej to nawet zrozumieć niż on, robotnik.

Na dworze padał śnieg, siekąc w różnych kierunkach. Przy wyjściu zaczął skosem, dalej spływał bezwładnie pionowo, a po przeciwległej stronie drogi, wzdłuż płotu, podlatywał nad ziemią lekko jak chmura bieleńkawa.

Tego wieczoru wigilijnego, który okazał się także przededniem czegoś całkowicie określonego a jeszcze niewiadomego, co miało jutro nastąpić, ogarnął nas niepokój, nie pozwalając nam usiedzieć spokojnie. Tylko Borecki, który wstąpił do Kacperka po drodze (zabawił tam zresztą nadspodziewanie krótko, dziwiliśmy się, jak można w pięciu minutach cokolwiek powiedzieć), opuścił nas wcześniej i poszedł do siebie; zauważyliśmy, że jeszcze przed dwunastą zgasiło u niego światło. My spotykaliśmy się tego wieczoru jeszcze dwukrotnie, dzieląc się nowymi wrażeniami i utwierdzając się coraz bardziej w jednym: że Kacperek nie zrobi jutro nic głupiego, co by naraziło jego, Boreckiego i nas wszystkich na styczność z gestapem. Byliśmy, bo chcieliśmy być przekonani, że jutro w południe, w kancelarii zarządu Kacperek zobędzie się na to, aby wykrztusić te formuły przeprosin, która może uchronić wielu ludzi od śmierci. Było oczywiście, że tak postąpi, ale skąd pochodził nasz niepokój? Stąd, że jutro mogłoby się zacząć, wbrew wszystkiemu, czego spodziewaliśmy się — to co się często zaczyna z małych przyczyn. W głębi naszej natury czaiła się bowiem świadomość, że wyduszenie tych dziewięciu Niemców w ich kwatery byłoby rzeczą łatwą i przyjemną.

Doktor Łączyński był jeszcze raz u Kacperka, już po bytności tam Boreckiego. Lecz nie nie umiał nam powiedzieć. Został Kacperka siedzącego przy stole naprzeciw żony z beczynnym wyciągniętymi garściami, w pozycji, w jakiej odpoczywa człowiek ciężko pracujący co dzień. Inżyniera pochłaniała cały wieczór zagadka, czy Iltz miał przy sobie broń czy jej nie miał i co mogło wywołać starcie między Iltzem a Kacperkiem, jakby mogło to zmienić w czymkolwiek sprawę. Miał skłonność do analizowania, którą znaliśmy dobrze. Dzisiaj doktor był wyraźnie

nieusposobiony do słuchania jego wywodów, powiedział, że przypomina mu to zachowanie się rodziny człowieka chorego, która nie ma nie lepszego do czynienia, jak powtarzać w kółko: ale gdzie on mógł się tak przebiebić? Gdzie on mógł się tego nabawić? Inżynier próbował jeszcze utyskiwać nad niefortunnym wyborem Sawy, powierającego zastępstwo Boreckiemu. Sawa oczywiście byłby mniej skłonny uznać Kacperka za jakąś „stronę” w tej awanturze, kazałby mu po prostu przyjść o tej a o tej godzinie przeprosić gefreitera Karola Iltza, ale czy zmieniłoby to w czymkolwiek samą rzecz? Niepostrzeżenie doszliśmy do wniosku, że z incydentu, który był właściwie drobniastkiem, sami zrobiliśmy wielką sprawę. Zasypiając tej nocy, ukołysaliśmy nasze obawy; ileż dotkliwszy byłaby ból zęba albo rwanie obierającego palca!

Nazajutrz, po ciężkim przespaniu godziny, o której wstaje się w dzień powszedni, zastaliśmy rano przeraźliwie jaśniejący poprzez jednolitą, ciekłą warstwę chmur. Śnieg ustał. Było go też dosyć, do prostu kipiał zewsząd ośnieżającą bielą. Z wczorajszych naszych trosk pozostało tylko radosne przeświadczenie, że jak dotąd nic nam jeszcze nie grozi; oto jak sen wyzwała nas spod ciężaru imaginacji.

Doktor wyszedł koło dziewiątej z zamiarem dotarcia do kościoła, lecz wrócił po godzinie zmęczony i zaśnieżony, tłumacząc się, że zawrócił w miejscu, gdzie śnieg sięgał mu powyżej pasa, nie przeszedłszy więcej niż dwa kilometry, a przypomniałszy sobie nagle, że jego obecność w osiedlu o dwunastej może być potrzebna.

Usłaliśmy przechadzkę za najlepszy sposób spędzenia tych dwóch godzin, jakie pozostawały do południa, nie mogąc się doczekać Boreckiego na śniadaniu u nauczyciela. Na głównej szosie przystanęliśmy na chwilę, obserwując sianie, które utknęły w pół góry w sposób tak śmieszny, jakby zaciążyły raptem tyle co wagon kolejowy wyładowany żelazem, a chłop wraz z parą koni skakali wokół nich dysząc parą i wzniecając obłoki śniegu. Po przeciwległej stronie szosy, za potokiem i krótką łąką, rozpoczynało się pasmo wzgórz, zarosnięte młodym kędzierzawym lasem, latem chadzałyśmy tam na kozaki rosnące pod osikami, dzisiaj było tylko faktem zamykającym nieubłagane widoki, jaki się poza nim rozpościerała, masą obramiającą tektonicznym kształtem płaskie miejsce, na którym leżało osiedle. Skreśliłmy na linię leśną, odchodzącą w bok od szosy, wspinającą się na kopalnię Wielka Jabłonka. Ktoś przeszedł już tedy dzisiaj przed nami, pozostawiając głębokie ślady. Stąpaliśmy w te otlchanie cudzych kroków, męcząc się ich krótkim rytmem. Ponad głowami wynurzała się i pogrążała znów wielka ściana kamieniołomów, pływająca po morzu drzew jak olbrzymia, świecąca kra. Podczas tej wędrowki, odbywanej w milczeniu jak ucieczka, inżynier idący z tyłu krzyknął nagle: — „Hej! Hej! — a wiecie która to godzina? — jedenasta!”. — Było to zdumiewające, jak niepostrzeżenie przeskoczyła ta godzina ponad nami, gdy według naszych obaw powinna się była, jak zwykle w oczekiwaniu, dłużyć nieskończenie. Została nam ona darowana przez czas w nagrodę za to, że nie napastowaliśmy go naszymi myślami. Przepłynął swobodnie obok nas, jak woda zwolniona z koła. Mogliśmy się teraz spieszyć do woli.

Było pięć minut po dwunastej, gdy zbliżając się do biura, ujrzelśmy Iltza wychodzącego właśnie stamtąd, dopinającego rękawiczki i kierującego się ostrym krokiem w kierunku kwatery. Na biodrze piętrzył mu się „steyer” w wielkiej czarnej pochwie. Pozostawało jeszcze zrobić te pięćdziesiąt kroków i trzy stopnie schodków. W kancelarii, oparty plecyma o piec stał Borecki, a naprzeciw niego Kacperek. Borecki wydał się nam jakby pobladły (lecz czy to nie to, że chcieliśmy go takiego zobaczyć — po prostu był starannie ogolony i miał ciasno zaczesane włosy).

— „Wiedzie — odezwał się, gdy za Kacperkiem zamknęły się drzwi — że w tej chwili nie pamiętam już nawet, jak to się odbyło. Zdaje mi się, ach tak, tu stał Iltz, a tu Kacperek” — przypomniał sobie Borecki, wskazując na dwie kałuże wody na podłodze po stopniatym śniegu. — Tłumacząc tę formułę, jaką recytował Kacperek, patrzyłem w okno, widziałem tam zdaje się dokładnie to samo, co teraz widzę, czuby dachów, zieloną grzywę sosny i to ośnieżone wzgórze naprzeciw, które jest tak solidnym oparciem dla wzroku.

Chwila ta miała tak powoli, jakby się wszystko zatrzymało i próbowało wracać do swojego początku. Muszę się wam przyznać, że stchórzyłem i zachowałem się jak człowiek, który na strzelnicy mruży oczy ze strachu. Nie mogłem patrzeć na nich, przez czas, gdy Kacperek skandował formułę przeprosin. Ale to wszystko są inteligenckie waporry, którym niestety i ja ulegam. Gdy skończyłem tłumaczyć, spojrziałem dopiero na Iltza. Włożył czapkę, cofnął się tyłem o krok i zsalutował wyprężoną dłonią naprzód w kierunku Kacperka, a potem moją. Rozśmieszył mnie ten raubritterski rytuał, zrozumiałem, jak w gruncie rzeczy niegroźna

figurą był ten student w mundurze. Reprezentował on jednak niemieckość, którą każdy ich ostatni połamaniec gotów jest pokazać gdziekolwiek znalazłby się na świecie. Niegroźna dopóty, dopóki nie zechciałby sięgnąć do swojego pistoletu, który miał na pasie...

Na kilka minut przed nim (Iltz wszedł punktualnie o dwunastej) zjawił się Kacperek i podziękował mi za pracę w kamieniołomach. Potem powiedziałem się rzeczy, która rozjaśniła mi w głowie. Na tej polanie pod Wielką Jabłonką po mnie był ktoś, kto znalazł się tam nie przypadkowo jak ja, lecz w całkiem określonym celu — aby się przekonać czy nie da się odkopać ciała brata, rozstrzelanego tam po pacyfikacji Cudzyńi. Gestapo nie trudziło się, aby odwozić tych kilkunastu ludzi do miasta, skreślił, nie znając tych stron, pierwszą lepszą drogą od głównej szosy i doprowadził ich w odpowie-

dnie miejsce, w zakątek ich zdaniem najdzikszy w całej okolicy, nie zdając sobie sprawy, że leży on pod nosem drugiej kopalni. Zresztą nie wiem, czyby się bardzo zmartwili, gdyby się dowiedzieli o niezbyt fortunnym wyborze miejsca. Tam leży brat Kacperka. Zrozumiecie teraz, że gdy wszedł Iltz, nie miałem absolutnie pojęcia, jak to się skończy. Ale okazuje się, że tak zwani prości ludzie mają jeszcze silne nerwy, lepiej wytrzymują takie sytuacje.

Pomyślcie, że Kacperek ocalał nas od zainteresowania się naszymi kamieniołomami od frontu — że się tak wyrażę. Wyobrażam sobie satysfakcję gestapo, przekonującego się, jak się im sprawy zgrabnie splatają.

A wiecie co robi w tej chwili Kacperek? Kończy pewnie pakować rzeczy swojej żony do koszyka. Bo ze swoimi nie ma wiele zachodu. Wojskową bluzę i czapkę z wrześnie-

wepchnie do plecaka i dzisiaj wieczorem, jak się zacznie ściemniać, ruszy przecinką leśną w kierunku na Wielką Jabłonkę, Karczę i Międzywiecie tam, dokąd zdaje się, coraz więcej młodych ludzi będzie się musiało udawać.

Żonę wysłał gdzieś do krewnych na wieś. Prosił mnie o parę naszych koni, które chce wprzeznąć na czwórkę jakichś tam chłopskich sani, które utknęły w pobliżu nas pod górką. Do pana, panie doktorze, mam od siebie prośbę. Aby upozerował pan jego wyjazd podejrzeniem tyfusu, będzie to sposób na zamydlenie im oczu. Zauważyłem, że boją się tej choroby gorzej niż śmierci... A mamy już jeden wypadek w osiedlu, możemy zarazić Kacperka.

— „No oczywiście, napiszę panu taki papier — odpowiedział doktor Łaczyński przystając na chwilę, gdyśmy już wychodzili. —

Co do tyfusu, to wolno się mylić nawet starremu praktykowi, ale muszę wam w końcu powiedzieć, że to nie było zapalenie opon ani tyfus, po prostu przestrzał kolana, nie mam tu rentgena, boję się czy nie ma tam jakichś przesunięć, gotów chłopak mieć sztywną nogę”.

Borecki wybuchł niepohamowanym, radosnym śmiechem, a inżynier Jaźwiec spojrział na doktora wzrokiem ojca, który odkrył u swoich dzieci nagle jakąś zdumiewającą, przewrotną dojrzałość i pogroził nam palcem, jakby chciał powiedzieć: Mnie się zdaje, że wy tu wszyscy zaczynacie spiskować. Kiedy wyszliśmy na pole, odetchnął głęboko czystym, mroźnym powietrzem i zauważył tonem streszczającym swoje niewesołe myśli:

— „Za tydzień będziemy mieli dopiero rok 1941...”

Kornel Filipowicz

TADEUSZ BREZA

Intelektualiści francuscy w walce z okupacją

Przed trzema miesiącami powróciłem z Paryża, do którego wyjechałem zaproszony, wraz z panią Zofią Nałkowską i Jarosławem Iwaszkiewiczem, przez Departament Związków Kulturalnych z Zagranicą przy francuskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych. W Paryżu reprezentowałem środowisko literackie krakowskie. Nie jestem krakowianinem i nie przybrałbym sobie sam tego tytułu, ale ambasada nasza podająca do prasy francuskiej informacyjne notatki o przybyściach z Polski przypisała mi ów Kraków, w którym rzeczywiście od czasu powstania warszawskiego znajduję goście. W ten sposób ta krakowskość przylgnęła do mnie, a ponieważ dla każdego oświeconego Francuza wyraz Kraków jest brzmieniem znajomym, z łatwością go powtarzano przy wszystkich notatkach i prezentacjach mojej osoby. Powróciwszy do Krakowa, poczuwam się wobec tego do obowiązku złożenia sprawozdania z tej wycieczki.

Od razu zrobić pewne zastrzeżenie. Nie powiadam: Francja — ale inteligencja francuska w walce z okupantem. A zatem nie robotnik czy chłop francuski, ale inteligent. Czy dlatego, że inteligent do walki tej przystąpił z większą żywiością? Nic podobnego! Istniały nawet pewne agendy życia konspiracyjnego, w których królował wyłącznie robotnik. W akcji najboleśniej dla interesów niemieckich na terenie Francji, to jest w miastach organizowanych sabotażach kolejowych, owej słynnej „bataille du rail”, brał udział nieomal wyłącznie element robotniczy. Jeżeli więc chcę tutaj mówić o roli inteligencji francuskiej w walce, to nie ze względu na to, że dzierżyła ona w niej prymat. Chcę mówić o niej ze względu na to, że jej położenie podczas okresu okupacji najbardziej się różniło od położenia analogicznej warstwy u nas. Z grubsza biorąc, francuski chłop czy robotnik z jednej strony, z drugiej Niemiec, stali na pozycjach bardzo do siebie podobnych u nas i we Francji. Sytuacja inteligencji była z gruntu odmienna. Uważałem więc, że przynosząc jakieś informacje z Francji przede wszystkim należy mówić o tym, co było tam inne niż u nas.

Sytuację inteligencji francuskiej za czasów okupacji niemieckiej definiują dwa fakty. Stosunek Pétaina do inteligencji francuskiej i stosunek Niemców do tej inteligencji. (Oczywiście do inteligencji francuskiej, nie do inteligencji Pétaina). Rząd Pétaina nie był rządem normalnym. Nie był władzą administracyjną kraju, który musiał skapitulować przed mocniejszym. Był władzą rewolucyjną. Odziewał się we wszystkie emblematy takiej władzy i sięgał po wszystkie jej prerogatywy. Ani mu się śniło z bolesną miną pić to piwo, którego sobie Francja nawarzyła. Do fatalnej sytuacji francuskiej robił wspaniałą minę. Tak wniebowzięta, jak gdyby kosztował nektaru. Oczywiście, że ubolewał nad dołą Francji. Ale zarazem radował się nową jej rolą. Barczyj radował się tym, że Francja zostanie oczyszczona wskutek katastrofy, niż tym, że zostanie przez nią pomniejszona. Ta nowa rola i to „oczyszczenie”, o którym mówię w rozumieniu pétainistowskim, były pojęciami fundamentalnymi i filozoficznymi. Bójmy się nie jakimś pojęciami koniunkturalnymi i politycznymi. Pétain i jego otoczenie wierzyli, że nieszczęście, które spotkało Francję, opłaci się jej. Charles Maurras nazywał klęskę francuską „cudowną niespodzianką”, Henri Bordeaux, w wewnętrznej hierarchii Akademii Francuskiej jedna z dwu najważniejszych osobistości, wypowiadał się wielokrotnie na ten temat, że klęska Francji ocalała to, co w niej było najcenniejsze. Nie jest to pogląd, który był nam za czasów okupacji sympatyczny. Byliśmy bowiem o nim poinformowani. Jedną z nielicznych książek, które za okupacji przybyły do nas z Francji, to „L'École France” Maurrasa. Odrośliśmy się do niego krytycznie wówczas i odrzuciliśmy go do niego krytycznie i dziś. Jednak dla zrozumienia sytuacji postaramy się podejść do jego poglądów z jak najlepszą dobrą wolą i — przynajmniej — z trudnym do osiągnięcia

w tej sytuacji maksimum obiektywizmu. W krótkich słowach Maurras wyznawał poglądy następujące: Francja wiotczeje, Francja jest krajem, który rozchodzi się w palcach, zdegenerowanym, trzeba ją ratować. Jak? Przede wszystkim odszukać przyczyny tego stanu rzeczy, następnie wynaleźć leki. Przyczyny odnaleźć można za pomocą takiej metody: porównując Francję z innymi krajami. Zdrowymi! Wśród tego wszystkiego, co będzie ją od zdrowych krajów różnić, znajdują się objawy choroby, ale znajdują się również przyczyny. Przyczynami tymi będą dosłownie pojęta wolność, pełnia swobód, demokracja, w ogóle całe dziedzictwo spadłe na Francję po Wielkiej Rewolucji. Na czym właściwie polega demokracja — pyta Maurras. Na tym, aby jedni ludzie mogli rządzić, a drudzy krytykować. Na tym, aby jedni mogli wprowadzać w życie to co sobie obmyśli, drudzy zaś mieli prawo to obrzucać. W idealnej demokracji — sztych Maurras — obywatel powinien w tym samym czasie otrzymywać od rządu jakiś rozkaz do wykonania, a od opozycji dowód, że ten rozkaz to bzdura. W ten sposób demokracja paraliżuje obywatela. Poza tym jest szkoła malkontentów. Jeżeli jedynym sposobem dojścia do władzy może być krytyka konkurencji, krytyka obejmować musi również i samą zwykłą codzienność, wytworzoną przez rząd, tę codzienność, w której obywatel bytuje. Dlatego to demokracja rozwija czarnowidztwo, pesymizm i krytycyzm. Wedle Maurrasa, który był prorokiem pétainizmu i z którego światopogląd pétainizmu wyrastał, należało z demokracją skończyć na rzecz autorytetu. Autorytet, rządy autorytatywne, budzą ufność do rzeczywistości. Demokracja taką ufność obala.

Maurras nudił i nudził swoich współczesnych takimi poglądami. Był świetnym pisarzem, był członkiem Akademii. Przewodził pewnym grupom konserwatystów, monarchistów, karmił i cieszył swymi myślami najbardziej na prawo posuniętą, cieniutką warstwę społeczeństwa francuskiego. W literaturze tego kraju, który każdą myśl i każde pióro oryginalne cenił sobie jako jeszcze jeden przejaw ciekawej intelektualnej gry, Maurras zajmował miejsce poczesne. Poglądy jego natomiast na tle francuskim były tak

paradoksalne, tak szalone, iż nikomu nie przychodziło do głowy, że może przyjść czas, w którym będą mogły stać się poglądami urzędowymi. Taki czas przyszedł. Pétain wziął w swoje starcze ręce rządy. Maurras już był przy nim! I nagle to źródło wieczystej uciechy dla zawsze krytycznych umysłów francuskich zdało się jakiegoś zdumiewająco klarowne. Maurras mówił o zepsuciu. Mówił i o zwiotczeniu.

Czyż tego nie przewidywał? A więc czyż cała reszta jego wniosków nie jest prawdziwa?

Pod względem politycznym Francja przechodziła dni straszne. Przechodziła je również pod względem intelektualnym. Na myśl francuską spadała noc. Zewsząd majaki. W takiej rozpaczliwej chwili i w takiej rozpaczliwej sytuacji trudno dziwić się, że nagle budzi się zwątpienie, czy rzeczywiście to co całe życie człowiek uznawał za czarne było czarne, a to co uznawał za białe było białe. Najcenniejsze cechy umysłowości francuskiej: krytycyzm, obiektywizm, racjonalizm, dążenie do absolutnej klarowności — zdały się nagle czynić zabójczym dla narodu francuskiego. Może szedł mylną drogą. Może rzeczywiście pierwszym bogiem człowieka powinien być jakiś wybrany przez niego autorytet. Może rzeczywiście myśl winna przede wszystkim ścigać pewne cele praktyczne, a nie jakieś majaki czystej prawdy. Olbrzymim dobrodziejstwem, ale zarazem wielkim niebezpieczeństwem tak zwanego myślenia intelektualistycznego jest to, że ono zawsze, wszędzie i bardzo chętnie służy każdej koncepcji jakimś kredytem. Intelektualiści, jeśli ich potraktujemy jako całość, są jak gdyby jakąś instytucją kredytową udzielającą kredytów coraz to innym ideom filozoficznym, światopoglądowym, politycznym. W bardzo wczesnym okresie rządów Pétaina we Francji tak się właśnie stało z mnóstwem francuskich intelektualistów. Zawahali się oni. Zdawali się mówić sobie: kto wie? Ale kiedy stało się jasne, że ten Pétain, niby to taki tradycjonalista, uderza przede wszystkim w to, co jest może najistotniejsze dla tradycji myśli francuskiej, uderza w swobodę badań, swobodę myśli i w swobodę krytyki, świat intelektualny francuski cofnął się. Złakł się już teraz nie tylko politycznego, ale przede

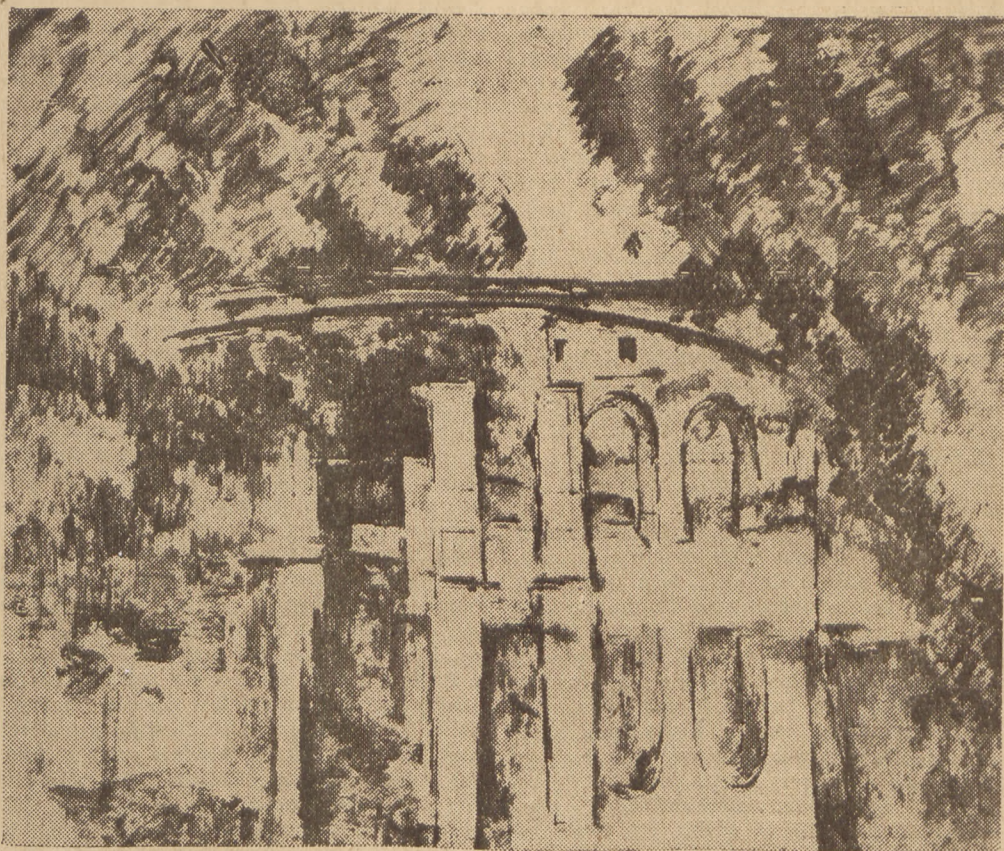
wszystkim intelektualnego niebezpieczeństwa tkwiącego w pétainizmie. Złakł się, przeszedł do opozycji, cofnął się do oporu. I cały zmobilizował się do walki, która była obroną tradycyjnych wartości francuskiej myśli przed tym rodzajem nowatorstwa, z którym występował Pétain i Maurras, a które było tylko intelektualnym tryglodytym.

Ale myśl francuska musiała walczyć nie tylko na froncie wewnętrznym. Nie tylko z Pétainem, który ją napastował. Walczyć musiała z Hitlerem, który ją kokietował. Bo pomiędzy stosunkiem Niemiec do polskiej inteligencji, a stosunkiem ich do francuskiej istniała ta wyraźna różnica, że Hitler francuską inteligencję uznawał. Ambasador niemiecki w Paryżu Abetz, Rosenberg, Ribbentrop — przy każdej sposobności czynili nauce i sztuce francuskiej jakieś awanse. Różnymi usty Niemcy ogłaszali wprawdzie, że myśl francuska ma w sobie coś nieżyłowego i niemęskiego, niemniej w przyszłym porządku Europy i światu za rezerwowali myśli francuskiej, francuskim piórom, smakowi i urokom jakieś miejsce, takie, jakie, z grubsza biorąc, Rzymianie mogli rezerwować Grekom. Poza tym oderwanym kultem dla francuskich intelektualistów istniał kult, który się opierał na docześniejszych podstawach. Francja obfitowała w nazwiska znane w Ameryce, tak północnej, jak południowej. Obłaskawienie sobie ludzi noszących takie nazwiska jak Valéry czy de Broglie, mogło się opłacać doraźnie. Nie podobna było ograniczać kokieterii do jednostek. Kokietowano całą elitę. Wszystkie instytucje, akademie, uniwersytety, różne instytucje kulturalne. Za pomocą wzorowych manier przy wszelkich kontaktach, za pomocą tysiąca awansów. Intelektualiści to lubią. Nie sądzę jednak, aby za pomocą tego sposobu Niemcy mogli byli coś uzyskać od elity francuskiej. To jest oczywiście moje domniemanie. Pewności nie będzie miał nigdy nikt. Bowiem nie było wówczas we Francji odpowiednich warunków do tego, by przeprowadzić w sposób czysty doświadczenia, czy Niemcy zachowujący się poprawnie i kokietujący francuskich pisarzy i uczonych coś od nich wydobędą, bowiem Niemcy nie potrafili nałamać się, żeby się zachowywać przyzwyczajeni wszędzie. Oto na przykład przyszło rozporządzenie, aby w żadnym wypadku uczonych francuskich pochodzenia semickiego nie wyłączać od obowiązku noszenia opaski. Nakaz dotyczył również i Bergsona. W owym czasie był to człowiek stary i chory. Nie opuszczał mieszkania. Zmuszono go do wychodzenia, wzywając do różnych niemieckich biur. Tak, aby musiał się z łąką na plecach pokazać. To nie był jedyny sposób szykanowania tego człowieka, który nosił jedno z najgłośniejszych nazwisk we Francji, a w nauce francuskiej ostatniego pięćdziesięciolecia, jeżeli nie największe, to z pewnością najefektowniejsze.

W tych okolicznościach niewiele mógł sprawić wydany z Berlina wszystkim Niemcom przebywającym na terenie Francji nakaz pewnej uprzejmości. Ale niewątpliwie odmiennie na atmosferę. Organizował stosunki pomiędzy Francuzami i Niemcami na całkiem odmiennej zasadzie niżeli u nas. Będąc w Paryżu nieraz słyszałem o różnych ciętych i śmiałych odpowiedziach dawanych przez intelektualistów francuskich Niemcom. Brzmiały mi one znajomo. Po prostu przypominały swoim tonem analogiczne wypowiedzi rzucane ongiś w twarz różnym dawnym dygnitarzom figurom zaborczym sprzed tamtej wojny. Pamiętam słynną odpowiedź hrabiny Branczik z Białocerkwi daną carowi Aleksandrowi II, który na balu dworskim przybliżył się do niej i widząc na jej piersiach broszę brylantową przedstawiającą polskiego orła, skrzywił się i rzekł: „Quel est ce monstre, Madame”. A ona: „Ce n'est pas un monstre. Il n'a qu'une tête”!

Otóż tego rodzaju rozgrywki, których celem jest upokorzenie przeciwnika mogą występować jedynie wówczas, jeżeli między stronami istnieją jakieś ludzkie stosunki.

MALARSTWO FRANCUSKIE



PAUL CEZANNE (1839—1906)

Pejzaż z mostem

Podczas okupacji nieraz błędziliśmy sięgając do tego arsenału starej broni. W tych czasach mogło być czymś celowym okazywanie Niemcom wzgardy, ponieważ w pewnym stopniu odbierało to im ducha, przymuszało do tego, że czuli się nieswojo. Podczas lat, które przeżyliśmy, byli oni ogarnięci w stosunku do nas tak narkotyczną, patologiczną pychą, że między nami a nimi już nie było miejsca na podobne chwytły, nadto cywilizowane. Ktoś, kto się ich imał, sam się skazywał na śmierć. Niemców chyba tylko śmieszył. W najlepszym razie wściekał, nigdy nie upokarzał. Francuz natomiast zachował po temu przywilej. Romain Rolland na przykład w odpowiedzi na jakieś polecające kogoś pismo, które otrzymał z Instytutu Niemieckiego w Paryżu, oświadczył dosłownie, „że przed wszystkimi jego czytelnikami niemieckimi drzwi jego pozostają teraz zamknięte“. Niemieczy admirał Picassa nie liczył się z podobnym zakazem. Pewnego dnia przybył do niego ciekawsza grupa lotników. Stanęli przed słynną „Guernicą“, obrazem symboliczno-alegorycznym hiszpańskiego miasteczka zniszczonego podczas domowej wojny przez bombowce niemieckie i szeroko otworzyli usta. „To pańskie dzieło?“ — pytali. „Nie, to raczej dzieło panów!“ — odpowiedział Picasso. To nie jest anegdota. A raczej nie jest to jedynie anegdota, ale wyborna ilustracja, która maluje tę zupełną inność stosunku Niemców do Francuzów i do nas. Wyraża się ona nie tylko w tym, że możliwe były tego rodzaju odpowiedzi w stosunkach osobistych, ale w tysiącu innych szczegółów. Oto na przykład choćby w tym, że na terenie Francji istniała prasa uprawiająca opór jawnie. Za pomocą różnych subtelności i figlów stylistycznych, za pomocą różnych rzeczy mówionych między wierszami. Prasa taka ukazywała się głównie na terenach Francji nieokupowanej. Ale nie tylko tam. Nieraz Niemcom zdawał się szczególnie apetycznym fakt, że ktoś taki czy inny chce wydawać czy pisywać do jakiegoś pisma podczas okupacji. Wówczas rozpoczynała się gra. Kto kogo okpi. Czy Niemiec Francuza, zyskując ten atut propagandowy, że dany pisarz nie milczy, czy też Francuz Niemca, przerywając swoje milczenie, by między wierszami usadowić przykrą i doskonałą ukrytą przed cenzorem szpilkę. Znowu wróć do tego, co już powiedziałem. My znaliśmy podobne gry wyborne. Przed tamtą wojną! Również czymś absolutnie przedwojennym tchnąć będa dla nas relacje z procesów wytaczanych przez gestapo czy rząd Vichy francuskim niepodległościowcom. W wielu wypadkach mógł ich bronić adwokat, a kiedy zapadał wyrok śmierci, w nocy, przed kaźnią, mogli pisywać listy do rodziny. Nie wskutek tego, że im na to pozwalali Niemcy, ale wskutek tego, że takie były warunki i możliwości po więzieniach. I znowu powiem! Który to rok dla nas? Polistopadowy, czy postycziowy, czy dziewięćset piąty? Oto ich ton: „Możecie to sobie powiedzieć, że do końca pozostałem godnym was synem, i godnym synem kraju, który tak kochamy. Nie żałuję, że śmierci mojej nadałem taki sens. Wiecie o tym dobrze, że nie popełniłem żadnego przestępstwa, nie macie potrzeby wstydić się mnie, umlałem wypęlić swój obowiązek Francuza. Nie sądzę, aby moja śmierć była jakąś specjalną katastrofą. Pomyślcie o tym, że również w tym samym momencie i to każdego dnia giną całe setki żołnierzy ze wszystkich krajów, których pociągnął ten sam wicher co teraz mnie porwa. Wiecie o tym dobrze, że oczekiwałem tego co nastąpi dziś rano, toteż miałem czas się do tego przygotować, ale ponieważ nie wyznaję żadnej religii, nie zatopiłem się w żadnych rozmyśleniach o śmierci. Po trosze myślę, że jestem jak liść, który spada z drzewa, aby użyźnić glebę. Żyzność jej zależeć będzie od jakości takich liści“. Tych kilka słów wyjąłem z listu młodego pisarza-komunisty. Pisał je na godzinę przed śmiercią. Wydają mi się one tak bardzo polskie z ich mistycyzmem, z ich — powiem — mesjanizmem. Jeśli jednak mówię polskie, mówię to znowu w sensie historycznym. Za naszych ostatnich dni takich listów już nie pisał nikt. Nasz los nie pozwalał na nie. Nasi bracia i ojcowie ginęli w warunkach tak zupełnego zdeptania i — powiem — zgnojenia, że list taki, nawet jeśli by nie mieli palców zmiażdżonych przy badaniach, nie ułożyłby się im, bo wydałby się im anachronizmem. Trudno! Myśmy przemierzili los niewolnictwa aż do samych jego najdalszych kresów, najpotworniejszych konsekwencji. Im dane było do poznania stopnie pierwsze, poznane przez nas już sto lat temu. Niemniej wówczas, kiedyśmy je poznawali, może równie potworne i zdumiewające, jak to co było dla nas ostatnio potworne i zdumiewające. Kiedy wleć czytamy czy słyszymy o losie Francuzów, francuskich udręceń podczas tej wojny, uczynimy w naszych myślach coś, co by przypominało to, co czynimy chcąc spojrzeć przez lornetkę. Manipulując lornetką nastawiamy ją na odległość przestrzenną, aby zaś wczuć się dokładnie i należycie ocenić to co czuli Francuzi podczas wojny, musimy spojrzeć z odległości czasu.

Ujrzymy wówczas w sposób należyty to, z czego tak jest dumny francuski ruch oporu intelektualnego, francuską niepodległościową poezję. Poezja ta rozkwita za okupacji wspaniale. Porównać jej nie można z naszą. Z naszą poezją, która powstała podczas okupacji

Z POEZJI ROSYJSKIEJ

OSIP MANDIELSZTAM

Brnąłem wieczoru wczorajszego

— po pas bezmała w grząskim śniegu —

z nieznanego mi przystanku.

Wtem — widzę chałę; we drzwi wchodzę:

czaj piją mnisi, solą słodzą,

a z nimi droczy się cyganka

Siedzi cyganka na pościeli,

raz w raz załotnie okiem strzeli,

mizerne próby mieląc w ustach.

Siedziała z nimi do zarania

prosząc: „Podaruj, złoty panie,

choć szal, choć byle co, choć chustę...”

Co przeminęło, to nie wraca;

dębowy stół i nóż na tacy,

a wzmian chleba — jeź brzuchały.

ostatniej. My bowiem — znowu wróć do tej sprawy tak kapitalnej — straceni zostaliśmy na takie dno cierpienia i poniżenia, żeśmy się od poezji odsunęli. Człowiek, schodząc coraz niżej po szczeblach swego losu, traci smak do różnych pojęć i do różnych gestów, które towarzyszyć mu mogą jedynie na wstępnym stopniu nieszczęścia. I tak schodząc poniżej pewnego poziomu roztaje się ze swoją wiarą w miłosierdzie boże, schodząc jeszcze niżej obojętnie na poezję. Ci, którzy przeżywali czasy pogardy i czasy upokorzenia tu, w Polsce, dobrze wiedzą o czym mówię. Jeżeli zaś w pierwszym momencie słowa moje wydają im się przesadne, proszę, aby przenieśli się myślą w tamte czasy, okupacyjne. Czy wiersz patriotyczny, czy wiersz protestu dawał im wówczas jakąś pociechę? Czy nie wydawał im się jakiś straszliwie bezradny i trochę przez to śmieszny? Na pewno tak! Cóż byśmy na przykład powiedzieli, gdyby nad nas przyleciał samolot, wówczas za Niemców i zasiał Polskę ulotkami z jakimś poematem. Poczuliśmy się nieswojo, poczulibyśmy żal. Dysproporcja pomiędzy takim środkiem walki, jakim jest poemat niepodległościowy, a środkami walki, jakie stosowali do nas Niemcy, była tak olbrzymia, że poemat taki musiał się stać dla nas niczym. Ale nie dla Francuzów. Brytyjskie samoloty nadlatywały nad Francję z takim wierszowanym posiewem. Poematy Aragona i Eluarda rozrzucono w ten sposób i Francuzi widzieli w tym tryumf ducha nad materią, tak jak nasi prapradziadkowie widzieli taki sam tryumf w olbrzymiej eksplozji patriotycznej poezji naszych romantyków. Teżę moją potwierdza jeszcze jedno. Oto kiedy wzywał się w tę bujną i piękną poezję francuską ostatnich lat, tę okupacyjną, pobrzmiwa ona jakoś bardzo znajomo. Po prostu pobrzmiwa ona tymi samymi tonami, którymi brzmią „Dziady“ czy „Kordian“. Kiedy czytam słowa Jana Cassou: „O Boże dopomóż mi, abym nie znał nad nimi lotnic!“ , wydaje mi się, że za tych słów słyszę inne, polskie: „Zemsta, zemsta, zemsta na wroga. Z Bogiem albo mimo Boga“. Proszę, oto dwa teksty! Pierwszy: „Poezja nasza dymi jak broń po wyrzucie!“ . Drugi: „Poezja to arsenał nasz w walce o wolność!“ . Który z tych tekstów jest naszym starym tekstem z lat powstańczych, a który nowym francuskim? Powiem, pierwszy jest francuski, drugi polski. Ale czyż można je było rozróżnić. W więzieniach francuskich niekiedy nocą rozbrzmiewała Marsylianka. Więźniowie słuchali jej z sercem pełnym uroku! Czemu? Na śpiewie Marsylianki spędzali ostatnią noc skazani na śmierć. Cassou natrafia w więzieniu na wiersz niemiecki wydrukowany w „Pariser Zeitung“, która się przez jakieś niedopatrzenie dostała do jego celi. Cóż czyni? Na wiersz niemiecki odpowiada swoim! Tam, w celi więziennej, niewiele mając na to szans, by z niej wyjść cało. Oto jeszcze kilka tych malutkich scenek z ostatnich lat okupacyjnych we Francji, które oglądamy z takim wzruszeniem, jak gdyby to były dagerotypy, powiedzmy, z naszych lat około 63 r.

Ale jest granica, poza którą los Francuzów przestaje być dla nas jakiś anachronistyczny, a staje się absolutnie taki sam, jakim by mógł być los każdego z nas. Tą granicą jest po prostu granica pomiędzy Francją a Niemcami. Bo na terenie Francji Niemcy stosowali do Francuzów manieri zupełnie dla esmanów nienaturalne. Na terenie Niemiec powracali całkiem do swojej natury. Kiedy francuskiego niepodległościowca pochłonął obóz, los jego zbiegał się z każdym innym losem. Z losem polskim, żydowskim, czeskim czy jugosłowiańskim. Nie tylko w obozie. Nie tylko dopiero w obozie. Nieraz już wcześniej! W śledz-

Nie mogli śpiewać wbrew swej chęci,

a więc przez okno, w kablak zgięci

na dwór cisnęli się garbaty.

Minęło pół godziny. Czarne,

garncami odmierzane ziarno

z wilgotnym chrzęstem żują konie.

Skrzypią wrzeczadze o świtanii,

turkocze zaprzęg na majdanie

i pierwsze ciepło czują dłonie.

Zgrzebne ciemności rzędą ranem;

— to cienkusz, kredą zabiłany

szynkuje za darmo chęć nuda,

a poprzez półprzejrzystą szmatkę

sączy się z okna dnia serwatka

i miga w locie kawka chuda.

przełożył Jerzy Pomianowski

twie. Małostwo spraw tak jak u nas rozpoczynało się śledztwem i na nim się kończyło, skoro kończyło się śmiercią podczas śledztwa. I nic tu nie mógł pomóc adwokat, którego do takiej sprawy nie dopuszczano. Pierre Brasselette, młody ale znakomity działacz niepodległościowy, który powiązał w jedno cały dziesiątek osobno rozwijających się prowincjonalnych ruchów oporu, wielokrotny uczestnik różnych zjazdów niepodległościowych w Londynie, aresztowany, po śledztwie i torturach trwających bez przerwy przez 60 godzin zdołał zadać sobie śmierć rzuciwszy się z 5 piętra. Prof. Halbwachs podczas rewizji w gmachu przeniesionego do Clermont Ferrand uniwersytetu strasburskiego, straszliwie pokaleczony, konał przez długie godziny na ziemi, w korytarzu. Jean Provost, wraz z sześćdziesięciu swymi rannymi kolegami z maquis wyrzelandi w szpitaliku polowym zorganizowanym w grotach Vercors. To już nie są, jak owe śpiewy Marsylianki po więzieniach, żadne, że użyję mego własnego wyrażenia, dagerotypy! To są obrazy, ilustrujące niemiecki tryb postępowania z podbitymi na odami, zupełnie współczesne. A zatem, porównując los naszej elity z położeniem elity francuskiej podczas okupacji powiem: Jej codzienność była po sto-kroć bezpieczniejsza i o wiele mniej upokarzająca. Wszystkie nieporozumienia mniejszej wagi między elitą francuską a władzami okupacyjnymi dawały się rozwiązywać w sposób nieskończenie lepszy, w porównaniu z tym, cośmy widzieli u nas. Ale kiedy sprawa była poważna, kiedy w śledztwie chodziło o rzeczy nie byle jakie, ich Niemiec i nasz Niemiec stawali się tym samym Niemcem i wten czas cierpienia Francuza i cierpienia Polaka, ból, tortury, cały traktament, aż po śmierć włącznie, stawali się jednakie. Wtedy ginęli oni, po więzieniach, biurach gestapo czy obozach, w sposób równie straszny jak my.

Kto ginął? Jakiego wyznania ludzie? Jakich przekonań politycznych? Różnych! Ginęli socjaliści, komuniści, katolicy! Ginęli ludzie przekonani o jakiejś jednej prawdzie i ginęli ludzie przekonani, że na świecie właśnie nie ma żadnej prawdy jednej. Jeżeli jednak spojrzeć pod tym specjalnym kątem widzenia, statystycznym, na sprawę, da się wyraźnie zauważyć, że wśród ludzi, którzy ginęli i walczyli za Francję, że wśród członków elity francuskiej gotowej oddać swoje życie za kraj, przeważali ludzie o pewnych ustalonych poglądach na świat. Właśnie katolicy i właśnie komuniści! Jest to fakt bezsporny.

Przyczyny ma on różne. Niektóre z nich są zupełnie oczywiste, nie będę się nad nimi rozwodził. Z mniej oczywistych wyliczę jedną, ale wydaje mi się, że bodaj najważniejszą. I u jednych i u drugich, u komunistów i u katolików — nie u wszystkich, ale u bardzo sporego odsetku katolików — tłumaczyć sobie należy ich impet niepodległościowy chęcią zadania kłamu temu, co pewni ludzie mogli o nich sądzić. Kiedy wybuchła wojna, Dauladier, ówczesny premier Francji, pozamykał w obozach wielu komunistów, mając ich za antypaństwowców i za defetystów. Idąc na rękę ulicy, która słynny pakt Mołotowa z Ribbentropem rozumiała dosłownie, zawiesił komunistyczny dziennik „Humanité“. Kiedy latem 40 roku Francja została pokonana, Niemcy, którzy jeszcze nie byli w stanie wojny z Rosją i starali się jej oczy mydlić, manifestacyjnie powypuszczali z obozów komunistów. Trzeba dobrze znać do głębi patriotycznego, powiem prawie szowinistycznego ducha francuskich komunistów, by pojąć cały trud ich ówczesnego położenia. W jednym tylko szukali oni wówczas oszołomienia i znajdowali ochłodę — w pracy konspiracyjnej. Rzu-

cali się w nią z rozmachem, aby znaleźć pod stopami grunt rzetelny w tej ich sytuacji, dla wielu postronnych i niewtajemniczonych dwuznacznej. To był ich odwet psychiczny, ich ryposta, jedyna odpowiedź, jaką mogli dać na stawiane im zarzuty, że kłody rzucają pod nogi Francji a ścieżki prostują przed stopami Hitlera. I ta jedyna odpowiedź, jaką mogli dać, była odpowiedzią milczącą, właśnie, że tak powiem, odpowiedzią ściśle zakomspirowaną. Anglicy dopiero od 1942 r. zaczęli wspomagać maquis bronią. Komuniści mieli broń o wiele wcześniej. „Humanité“ pierwsza ze wszystkich organów niepodległościowych zaczęła się ukazywać, a raczej pierwsza zaczęła się ukrywać. Do dnia wyzwolenia Francji pismo to opublikowało 316 numerów. Około 100 druków, około 200 na roneotypie. Proszę pomyśleć! W sumie przez 4 lata około 60 000 000 egzemplarzy, na które poszło ok. 200 ton papieru. Jeden z roznosicieli „Humanité“ posiada swoisty rekord. Rozwożąc pismo przez kilka lat przebył łącznie 15 800 km. Na każdym z nich, na każdym kilometrze, co mówię, metrze, ryzykując życiem. Siedmiu kolejnych głównych redaktorów tego pisma zginęło. Między nimi był Gabriel Péri, o którym pisałem w „Odrodzeniu“. Jedną z najwybitniejszych inteligencji francuskiego komunizmu i jeden z najpiękniejszych charakterów. Francuskiej myśli komunistycznej, jej intelektualistom zawdzięcza ruch oporu najlepsze swoje literackie pismo. Owe znane już dzisiaj powszechnie w literackich sferach całego świata, bo teraz już jawne „Les Lettres Françaises“, do których powrócę jeszcze. Członkiem partii komunistycznej jest najwybitniejszy z poetów francuskiej Résistance Louis Aragon. Jego własne dzieje podczas okupacji są jednym ciągłym poematem. Heroicznym! Biję się pod Dunkierką, cały czas jest w ogniu. A przez następne cztery lata nie ma chyba miejsca na całej Francji, gdzieby nie rozplamieniał setek serc swoimi poematami. Jego wiersze są zupełnie proste. To bardzo rytmiczne, bardzo patetyczne hymny. Hymny-reportaże, hymny-skargi, hymny-opowieści. Można je wypowiadać szepem i można je śpiewać na wiele głosów albo wykrzykiwać na całe gardło. Jest w Aragonie i dziennikarz i prokurator i prorok! Ktoś kto informuje i ktoś kto mobilizuje uczucia. Mówił o każdej nowej nikczemności niemieckiej. On, wódz poetycki południa Francji, ze stolicą w Lyonie i Eluard, wódz poetycki północy, osiedlony w Paryżu, na dwa głosy, wspaniale zharmonizowane, przemawiali do Francuzów. W sposób jasny i porywający. Obaj ci poeci, przed wojną już znani, dziś słynni, wierszom swoim podczas wojny mościli drogę nie tylko z własnych głów na papier, ale także z tego papieru do setek tysięcy uszów i do setek tysięcy oczu. Mościli im drogę organizując żywot pism literackich, potajemnych, rozprawdając te pisma osobiście — Eluard robił to wciąż — czy też odtwarzając wciąż i wciąż rwąca się ścież kolportażową. I nie tylko to! Nie tylko na drodze organizacyjnej szli na rękę swoim słuchaczom i czytelnikom. Ale również na drodze o wiele trudniejszej! Na drodze może najtrudniejszej dla każdego poety. Na drodze olbrzymich wyrzeczeń, jakie poeta musi uczynić, przechodząc od formy czystej do formy prostej, stosowanej, przechodząc od formy łatwej dla siebie, ale trudnej dla czytelnika, do formy dla siebie trudnej, ale za to dla czytelnika dostępnej. Eluard, Aragon do tej formy zeszli! Czy też dźwięgnęli się, jeżeli kto woli. Praktycznie. I teoretycznie. Aragon o sprawie tej pisał i mówił. Przykład jego podzielał na młodszych. Pociągnął bardzo wielu.

W olbrzymiej mierze dokonało się to w Aragonie czy Eluardzie wskutek ich przekonań o roli artysty w świecie. Byli komunistami. Rozumieli, że jest czas na to, żeby zejść między ludzi. Ze czas pili. Ludzie przyjęli ich z szeroko otwartymi ramionami! Ci wszyscy ludzie we Francji naprawdę jeszcze zdolni do nadziei i do buntu! I kiedy potem przyszedł dzień wyzwolenia Francji i kiedy nadszedł czas, aby poetów oporu uczcić i przedstawić całej Francji, kiedy pewnego wieczoru z wielką galą recytowano w Comédie Française, w oczach wszystkiego co w Paryżu było najświetniejsze, wiersze Aragona i Eluarda i kiedy po recytacjach generał de Gaulle długo i serdecznie ścisnął ręce poetów, może przez moment pomyśleli oni o tym, że tryumfy swoje zawdzięczają nie tylko swoim osobowościom poetyckim, ale w znacznej mierze formie, nadanej ich wierszom i patriotycznemu impetowi nadanemu ich poezji przez ten ruch, tę myśl i tę wiarę, która na początku wojny tytuł Francuzom wydawała się zaprzeczeniem samego pojęcia miłości do jednej ojczyzny.

Tadeusz Breza

Zaprenumerować „ODRODZENIE“
można w każdym urzędzie pocztowym
za pomocą przekazu pocztowego
Prenumerata kwartalna 87 zł.
Adres administracji: Kraków, Wielopolska 1

JAN WALCZAK

Szkodliwa książka

I

W Morawskiej Ostrawie wyszła świeżo z druku nakładem J. Lukasika obszerna, 368-stronicowa praca posła Franciszka Uhlífa „Těšínke Slezsko“. Praca ta, pisana na emigracji londyńskiej do użytku tamtejszej propagandy, obecnie specjalnie opracowana do użytku propagandy krajowej, zaopatrzona w moc wykresów, diagramów, map itd., jest reklamowana w prasie czeskiej jako dzieło „dokumentarne“, które ma informować i uświadamiać społeczeństwo na podstawie popartych przez fakty argumentów o sprawie Śląska Cieszyńskiego i jego związkach z Czechami. Autora zaś, posła ze Śląska do parlamentu czeskiego, reklamuje się jako gruntownego znawcę tych zagadnień. Przedmowę do książki napisał Hubert Ripka, szef prasowy emigracji czeskiej w Londynie podczas wojny, do niedawna minister handlu zagranicznego w odbudowanej Czechosłowacji. Biorąc książkę Uhlífa do ręki, czytelnik polski spodziewa się, że znajdzie w niej naprawdę istotne argumenty, różne od tych trywialnych, jakimi posługiwała się od lat trywialistyczny szowinistyczna prasa czeska z pogranicza. Od dzieła wydanego takim sumptem można było spodziewać się nowego naświetlenia i głębszej argumentacji.

Tego wszystkiego w dziele posła Uhlífa nie znajdujemy. Na 368 stronach powtarzają się stare wywody nieraz mało poważne. Dobre by one były w jakiejś broszurce propagandowej, ale nie w dziele, które ma pretensje trafić do przekonania poważnej publiczności.

II

Jako argument przemawiający za „czeskością“ Śląska Cieszyńskiego w ciągu dziejów Uhlíf przytacza fakt, że „już w XV i XVI wieku język czeski był językiem urzędowym oraz językiem używanym w kościele i w szkole“... „Czeskiego języka używano w urzędach i szkołach aż do roku 1848, w całym tym okresie nie było mowy o Polakach“. Dowodem czeskości ziem są po dziś dzień zachowane kancelarie oraz liczne dokumenty z tego okresu. Germanizacja zaczyna się według Uhlífa w XVIII wieku a dopiero w XIX w. zjawiają się Polacy jako żywioł sztucznie sprowadzany przez Austriaków, mający stanowić przeciwwagę żywiołowi czeskiemu, który zaczynał być dla Wiednia niebezpieczny.

Uhlíf dochodzi do wniosku, że „Polacy są żywiołem napływowym, przybyłym na Śląsk Cieszyński w drugiej połowie XIX wieku i w wieku XX“.

Spróbujmy zbadać poszczególne założenia jego argumentacji. A więc jak się przedstawiała sprawa czeszczyzny na Śląsku w XV i XVI wieku? Używanie języka czeskiego w aktach, dokumentach czy księgach religijnych nie jest bynajmniej właściwe tylko Śląskowi i nie ma nic wspólnego z obliczem etnicznym ówczesnego Śląska. Język czeski był w tym okresie językiem urzędowym i kulturalnym w całej Europie Środkowej. Używano go na całym Śląsku, nie tylko na Śląsku Cieszyńskim, używano go w wielu wypadkach w Polsce, ba, używano go i na Węgrzech za Macieja Korwina. Władysław Jagiełło lubił nawet mówić po czesku. „Za jego przykładem — mówi Michał Wiszniewski w swej „Historii literatury polskiej (VI, 378—379) — i na Litwie używano języka czeskiego, a na dworze krakowskim wszyscy mówili po czesku a nawet listy pisywali“. Był to wówczas język warstw wyższych, język wytworny, tak jak cerkiewno-słowiański na Rusi, grecki w Mołdawii w XVIII w., łacina na Zachodzie, perski w krajach muzułmańskich Wschodu; braciom Czechom tej służnej chwali ich języka nie odejmujemy. Jest zresztą traktująca o tym rozprawa znanego historyka Ziviera „Die Amtsprache in Schlesien“ (Katowice, 1903), ale jeszcze raz powtarzamy, że nie ma to nic wspólnego z ówczesnym charakterem narodowościowym Śląska Cieszyńskiego.

Był zresztą jeszcze jeden czynnik, który w okresie tym sprzyjał szerzeniu się języka czeskiego wśród ludności polskiej jako języka literackiego na Śląsku. Ludność Śląska wyznająca ewangelickiego używała pisma późnogotyckiego (szwabachy używanej dotąd przez Niemców), gdy w Polsce przyjęła się już alfabet łaciński: Ślązacy łatwiej czytali druki czeskie w alfabecie, lepiej im znanym. Mówi o tym czeski historyk prof. Adamus w swej pracy „Po stopach slezskich pism Petra Bezruce“ (Brno, 1927): „W r. 1335 zagarnęli Czesi Śląsk. Lud Śląska stracił w ten sposób polityczną i kulturalną łączność z narodem polskim. Wraz z husytyzmem przenika na Śląsk język czeski i prawo morawskie tak dalece, że język czeski staje się tam językiem urzędowym. Czesi używają w druku pisma szwabachowego, Polacy już od XVII wieku — łacińskiego. Literatura polska nie przenika na Śląsk, bo nie jest dostępna dla ludu, który nie zna pisma łacińskiego. W połowie XVIII wieku zaczyna się narodowe przebudzenie ludu polskiego na Śląsku. Rząd austriacki powoływał na urzędy wielu Morawian. Wraz z reformami szkolnymi ustanowiono obowiązek powszechnego nauczania a rząd austriacki

wprowadził do szkół język czeski i niemiecki nie zaś polski. W roku 1782 Józef II połączył Śląsk z Morawami, zapewniając w ten sposób językowi czeskiemu wpływ w szkole, kościele i urzędach... W owym czasie duchowieństwo na Śląsku Cieszyńskim zaczyna domagać się wprowadzenia języka polskiego, ale austriackie władze gubernialne odpowiadają, że dla kilku dekanatów nie można zaprowadzać języka polskiego w szkołach i urzędach na Morawach“. Tyle czeski historyk w czeskiej książce wydanej w Czechosłowacji. Zresztą sam Uhlíf pośrednio, aczkolwiek nieco w zamaskowanej formie mówi: „Czeski język urzędowy i czeską kulturę przyjęła ludność cieszyńska w dobie walk husyckich. Przyjęcie to zupełnie dobrowolne było uroczyste ogłoszone przez sam sejm cieszyński w roku 1573. Ludność tego pogranicza narodowościowego skłoniła się ku wyższej kulturze, którą bezspornie była wtedy kultura czeska“. Jeżeli więc ludność cieszyńska skłoniła się i przyjęła język czeski, znaczy to, że był to dla niej język obcy, przyjęty jako język wyższej wówczas kultury czeskiej, nie z racji charakteru narodowościowego tego terenu, o którym Uhlíf pisze niejasno jako o „pograniczu narodowościowym“ — ale z racji swej bezsprzecznej wówczas wyższości.

Uhlíf dziwnie naświetla zagadnienie rzekomej germanizacji ludności cieszyńskiej przez rządy austriackie od XVIII w., co ma niby tłumaczyć osłabienie czeszczyzny w późniejszych okresach. Według Uhlífa język czeski był na Śląsku najbardziej prześladowany: „Język czeski miał być usunięty albo zasadniczo ograniczony. Tylko kościół i szkoła czeska opierały się wytrwale temu germanizacyjnemu naciskowi“. Przecież kościół i szkoła nie miały się czemu opierać, bo to one właśnie były narzędziem czechizacji prowadzonej przez organa austriackiej administracji szkolnej! Przecież każdy, kto zna choćby w skrócie dzieje szkolnictwa na Śląsku Cieszyńskim, wie, że z chwilą ustanowienia nowych porządków szkolnych za Marii Teresy, wprowadzenia powszechnego nauczania itd., wprowadzono właśnie do szkół język morawski to jest czeski, który forsowały władze austriackie jako język urzędowy. Nie ma więc powodu do otaczania szkolnictwa czeskiego aureolą męczeństwa, czy nimbem prześladowań. Jeżeli język czeski był używany w szkole i kościele, z tego już widać, jak bardzo był uprzywilejowany.

III

Na podstawie dokumentów w języku czeskim, na podstawie statystyki szkolnej i statystyki imigrantów z Galicji dochodzi Uhlíf do wniosku, że przed XIX wiekiem nie ma Polaków na Śląsku Cieszyńskim, że są tam oni żywiołem napływowym, forsowanym przez rządy austriackie dla przeciwdziałania niebezpiecznym dla Wiednia Czechom w XIX w.

Jednak z tą statystyką imigrantów z Galicji nie jest w porządku. Fakt, że w 1869 r. 4.544 Polaków cieszyńskich miało przynależność do Galicji, że w r. 1890 było ich 21.189 a w 1910 r. 58.545 nie tłumaczy zupełnie, skąd w r. 1910 statystyka austriacka, którą trudno podejrzewać o stronniczość na korzyść Polaków, wynalazła na Śląsku Cieszyńskim aż 233.850 Polaków. Czy to wszystko imigranci?

Ciekawa jest też argumentacja, że rząd austriacki faworyzował element polski uważając go za przeciwwagę elementowi czeskiemu. Dlaczegoż to Czesi byli w tym okresie tacy niebezpieczni dla monarchii austriacko-węgierskiej? Wiemy, że najbardziej niespokojnym żywiołem byli wtedy Polacy, urodzeni rewolucyjniści, spiskowcy spędzający sen z powiek wszystkim szpiclom absolutyzmu i reakcji. Jeśli przypomniemy wyprawy Deniski z granic bukowińskich na Galicję z 1796 r., powstanie w Galicji i wkroczenie tam wojsk księcia Józefa w r. 1809, powstanie krakowskie w 1846 i powstanie chochołowskie, ruchy rewolucyjne w Krakowie i Lwowie w 1848, stan wyjątkowy ogłoszony w Galicji w 1864 roku, to chyba z nikim nie miał Wiedeń tyle kłopotów i utrapienia, co z Polakami. W czasie tym nie słyszy się w ogóle o jakichkolwiek powstaniach czeskich. Dlaczegoż ich Czesi mieli być dla monarchii tacy niebezpieczni?

Uhlíf nie widzi na Śląsku Polaków przed połową XIX wieku. Wystarczy jednak zwrócić choćby parę miejscowości Zaolzia, aby dojść do wniosku wręcz przeciwnego. Nad bramą kościoła w Nawsiu jest napis w języku polskim z 1820 r., w Ligocie Kameralnej na cmentarzu oglądać można dwa nagrobki w języku polskim z 1808 i 1829. Tak samo w języku polskim jest nagrobek żony pastora Paulinyego w Bystrzycy z r. 1799, choć pochowana była Słowaczka a nie Polka. To tylko kilka przykładów współczesnych napisów, których jest bardzo wiele.

Ale są i inne nie mniej przekonujące dowody, które obalają apokryficzne twierdzenia Uhlífa. Chociaż w szkole, kościele i urzędzie narzucono język czeski jako urzędowy, to jednak za język ludowy uważano tylko język polski. Dowodem tego są liczne książki do nabożeństwa, które ukazały się dla ludu

cieszyńskiego w XVIII wieku. W r. 1761 wyszła w Opawie wydana przez trzech księży katolickich Bajtka, Hackenbergera i Knebla polska książka do nabożeństwa „Prawdziwa jedzina do nieba z pisma świętego dokazana droga“, autorzy zaznaczają, że jest ona pisana w języku ludu śląskiego i przystosowana do jego potrzeb. Czy poseł Uhlíf zna tę „Prawdziwą drogę do nieba“? A czy zna wydanie biblii w języku polskim z r. 1768. ks. Twardego, rodem ze wsi Trzecieź na Zaolziu? Czy wie, że ks. Pauliny, pastor ze wsi Bystrzyca na Zaolziu wydał po polsku w Brnie w r. 1818 „Naukę ewangelii chrystusowej“? Należy przy tym zaznaczyć, że Pauliny był Słowakiem — dlaczegoż więc pisał dla swoich parafian po polsku, jeżeli to byli Morawcy, sztucznie spolonizowani pod koniec XIX wieku, zalani przez falę imigrantów z Galicji w XX wieku?

Uhlíf pomija milczeniem na pewno znany mu fakt, że wiele proboszczów — nawet niezawsze rodowitych Polaków — już na początku XIX wieku rozpoczęło energiczną akcję za wprowadzeniem do szkół języka polskiego jako języka ludu. Ks. Szersznik, z pochodzenia Niemiec, pisał w memoriale z 8 stycznia 1808: „Śląsko-polskie narzecze, z wyjątkiem powiatu frydeckiego, jest we wszystkich pozostałych powiatach językiem ludności i dlatego książki czeskie są dla dzieci przeważnie niezrozumiałe“. Śladami Szersznika poszedł ks. Opolski. Ale austriackie gubernium odrzuciło ich wnioski.

Wywody posła Uhlífa przeczące istnieniu śladów polskości na Zaolziu przed połową XIX w. trafiają więc w próżnię.

IV

Uhlíf nie może zaprzeczyć, że statystyka austriacka na terenie całego Śląska Cieszyńskiego notowała w r. 1910 — 233.850 osób narodowości polskiej. Jak autor radzi sobie z tą cyfrą? Otóż Uhlíf tłumaczy, że statystyka austriacka wliczyła do tej cyfry „około... 60.000 ludzi, którzy się zwali „Ślązakami“, a którzy nie chcieli mieć z Polakami nic wspólnego“, oraz 50.000 (?) tzw. „górali“, „obywateli Beskidów“ śląskich, którzy również nie uważali się nigdy za Polaków i których Polacy dotąd podają w swych podręcznikach do nauki jako osobne ugrupowanie etniczne. Po obliczeniu więc tych „Ślązaków“ i „górali“ pozostaje jeszcze 100.000 osób, z których według niego odliczyć należy jeszcze około 60.000 przybylszy z Galicji.

Nie wiadomo przede wszystkim skąd Uhlíf wziął liczbę 60.000 „Ślązaków“ i 50.000 „górali“, jak nie wiadomo też skąd zaczerpnął informację o ich odrębności? Za odrębne ugrupowanie etniczne uważały „górali“ nie polskie podręczniki szkolne, ale niemiecka propaganda za czasów hitlerowskich i dziwne wydaje się, że czeski działacz demokratycznej Czechosłowacji może za propagandą hitlerowską powtarzać brednie o „gorallenvolku“. Poza tym pozostaje nam jeszcze 123.850, a nie „około 100.000“. Jeśli od tych 123.850 odejmiemy jeszcze 60.000 rzekomych przybylszy z Galicji, to i tak mamy jeszcze sporą liczbę przeszło 60.000, z którymi poseł Uhlíf nie będzie miał co zrobić.

Wywody, że tak zwani Ślązacy na Śląsku Cieszyńskim są Polakami i nie można ich odliczyć od ogólnej cyfry, potwierdza nie kto inny, ale... sam poseł Uhlíf parę stron dalej, gdy mówi, że w okresie sporów o Śląsk Cieszyński w latach 1918—1920 ludność polska nie była jednolita w swoich żądaniach co do przyszłości tych ziem i podczas gdy „jedna część, to jest partia narodowa i socjalistyczna, żądała rozdzielenia tego terytorium na część polską i czeską, druga, tzw. Śląskie Stronnictwo Ludowe, była przeciwna dzieleniu Śląska i jego połączeniu z Polską i żądała, aby ze Śląska Cieszyńskiego utworzono neutralną republikę pod opieką Ligi Narodów...“ Ależ Stronnictwo Śląskie to przecież właśnie słynni „Ślązakowcy“ Koźdonia, reprezentujący ten element, który zaliczał się do narodowości śląskiej. Tak więc Uhlíf zaliczając ich organizację polityczną do stronnictw polskich, mimo woli obala swoje poprzednie twierdzenia, że Ślązakowcy nie byli Polakami.

A teraz zagadnienie polskości tych obszarów Śląska Cieszyńskiego, które w r. 1920 oddały od Czechosłowacji, a więc przede wszystkim powiatów czesko-cieszyńskiego i fryszackiego. Uhlíf bierze tu pod uwagę statystykę czeską z r. 1920, podaje cyfrę 77.314 osób ludności polskiej i dochodzi do wniosku, że zaledwie w Jabłonkowskim można mówić o polskiej większości, a wszędzie indziej była większość czeska. Żeby umocnić jeszcze to twierdzenie, podaje statystyki z wyborów sejmowych, mające udowodnić, że ludność tych ziem przeciwna była połączeniu się z Polską.

Ponieważ Uhlíf podaje cyfrę 77.314 zupełnie bezkrytycznie i bez żadnych komentarzy i ponieważ cyfra ta pojawia się stale jako podstawowy argument wszystkich czeskich pretensyj, jako zdaniem Czechów niezbity dowód znikomej ilości Polaków (stanowi to zaledwie 23,6% ogółu ludności) na Zaolziu, czeskiej argumentacji w prasie, radio, propagandzie, trzeba by raz wreszcie wykazać, że liczba ta

opiera się na fałszywych przesłankach **zaczepniętych tylko ze źródeł czeskich.**

Spis austriacki z r. 1910 na terenie całego Śląska Cieszyńskiego (razem z częściami, które przypadły Polsce) wykazał 233.850 osób, na terenie zaś, który po r. 1920 dostał się Czechosłowacji, wykazał 141.927 Polaków. Natomiast spis czeski z r. 1921 podał na tym samym terenie tylko 69.967 Polaków. Skąd ten nagły spadek? Żadna cyfra reemigracji do Polaków nie tłumaczy. Trzeba zbadać bliżej metody czeskich spisów ludności, aby zrozumieć te przedziwne metamorfozy statystyczne.

Czeskie rubryki dotyczące narodowości obok rubryk „Polak“ i „Czech“ uwzględniały też takie rubryki jak „Ślązak-Czechosłowak“, „Ślązak-Niemiec“, „Ślązak-Polak“ itd. Spis ludności z r. 1921 w wykazie ludności, posiadającej obywatelstwo innych krajów, wszystkich te rubryki „Ślązaków“, „Ślązaków-Polaków“ zasegregował do kategorii Polaków. Możemy więc z czystym sumieniem zaliczyć tych wszystkich Ślązaków do narodowości polskiej — otrzymamy wtedy około 25.000 osób więcej.

Cyfra 77.344 obejmuje tylko obywateli czechosłowackich. Wiemy, że po r. 1920 uzyskanie obywatelstwa czechosłowackiego nie następowało w kraju morawsko-śląskim automatycznie, ale drogą opcji czy specjalnych starań, przy czym czeskie władze utrudniały uzyskanie tego obywatelstwa osobom narodowości polskiej, nawet od dawna tam zamieszkałym. Sprawa ta wlokła się przez czas trwania pierwszej republiki czechosłowackiej i do dziś nie jest jeszcze rozwiązana. Otóż tenże spis z r. 1921 uwzględniła w wykazie obywateli obcych cyfrę 23.562 Polaków. Cyfrę tę doliczamy znów do poprzedniej, uzyskując w ten sposób łączną liczbę około 120.000 Polaków. Zaznaczamy, że jest to cyfra minimalna, „wymanewrowana“ z łamigłówek czeskich statystyk. Dla całego kraju morawo-śląskiego (razem z Morawską Ostrawą) cyfra ta, wydobytą z kryjówek czeskiej statystyki, wynosi 127.635.

W r. 1930 nie możemy tej cyfry wyłowić, albowiem statystyka w rubryce obcych obywateli zamieszkujących kraj morawsko-śląski nie uwzględniła poszczególnych narodowości. Wszyscy obywatele obcego pochodzenia wciągnięci są do ogólnej liczby 63.322. Ile w tym było Polaków, o tym się nie mówi. Mając jednak w rękę dane z r. 1921 — możemy sobie sami wyprowadzić liczbę Polaków na Zaolziu w r. 1930. Mianowicie: odliczając liczbę 5.433 osób, które na podstawie statystyk opuszczyły w latach 1921—1930 Zaolzie, a dodając cyfrę 19.618 uzyskaną z obliczenia przeciętnego naturalnego przyrostu ludności tego terytorium (15‰), otrzymamy w 1930 r. 141.820 Polaków w kraju morawsko-śląskim a 121.988 w samych powiatach czesko-cieszyńskim i fryszackim. Że ta cyfra jest prawdziwa, łatwo to sprawdzić w inny sposób. Od liczby 156.851 Polaków w kraju morawsko-śląskim, podanej przez statystyki austriackie z r. 1910, należy odliczyć przeszło 30.000 Polaków, którzy po roku 1920 opuścili Zaolzie i udali się do Polski. W ten sposób otrzymamy znów liczbę przeszło 140.000 Polaków.

Dowodów na to, jak mało wiarygodna jest statystyka czeska, nie brak na każdym kroku. Wystarczy np. porównać dane ze statystyki z r. 1921 dotyczące wyników wyborów gminnych w r. 1923. W gminie Olbrachcice, gdzie statystyka podała 31,68‰ ludności czeskiej, padło na listę czeską tylko 11‰ głosów... W gminie Raj, gdzie notowano 19,01‰ Czechów, przy wyborach było ich tylko 5,5‰. W gminie Żuków Górny statystyka wykazała aż 74,3‰ Czechów.

Zatem nie 77.314, ale co najmniej około 142.000 Polaków było na czeskiej części Śląska Cieszyńskiego w r. 1930. Zmienia to już zupełnie procent i układ sił narodowościowych, obala głoślowne twierdzenia o „czeskości“ Zaolzia, o „większości czeskiej“.

Wszystkie dalsze twierdzenia Uhlífa wysnute wyłącznie z tej cyfry nie wytrzymują krytyki.

Polskość Śląska Cieszyńskiego nie była nigdy kwestionowana przez poważniejszych Czechów, którym nieobce było to zagadnienie. Sto lat temu stwierdzał już Szafařík, że obszary aż po Ostrawicę są polskie. To samo stwierdzili wybitni językoznawcy i uczeni czeszy — Szembera, Polívka, Niederle. Obecny prezydent Benes w wydanej w r. 1924 książce „Problemy nowe Europy a zahnranicni politika ceskoslovenska“ pisze o tzw. „Ślązakach“, że „ponieważ mówią oni po polsku, wszelkie dowodzenia, że nie są Polakami, były zawsze daremne...“ Historyk cieszyński Prasek w swej książce „Dejiny knizectví Těšínskeho“ (Opawa, 1894) pisze: „Przyjrzyjmy się przede wszystkim charakterystycznym cechom mowy polskiej. Z cech tych nabierzemy przekonania, że lud polski miał zdecydowaną przewagę na Śląsku Cieszyńskim i ma ją dzisiaj“. Slama w swym „Vlastenecké putování po Slezsku“ mówi wyraźnie, że **w** Frysztackiem i Cieszyńskiem Czesi są w mniejszości a w Jabłonkowskim i w reszcie Cieszyńskiego mieszkają prawie wyłącznie Polacy.

Historyk czeski Adamus uważa, że cały Śląsk Cieszyński był polski. „W dzisiejszym twierdzeniu, że Cieszyńskie zostało spolonizowane, jest taka sama logika, jak w niemieckim twierdzeniu, że Czechy zostały szczecizowane“.

Wbrew więc twierdzeniom pośla Uhlika, wszystkie dowody przemawiają za tym, że Zaolzie było i jest zamieszkałe przez ludność rdzennie polską. Nie ma argumentów, które mogłyby te fakty zakwestionować. Dzieło pośla Uhlika, poza bezkrytycznie przejętymi danymi z odpowiednio preparowanych statystyk urzędowych, o których prezydent Masaryk pisał, że „należy zaznaczyć, że na statystykach narodowościowych nie można polegać. Narody panujące swoim naciskiem obniżają liczebność narodów ciemniejszych, wynajdując demograficznie dowolne, nieściśłe kategorie językowe i narodowościowe“ („Nova Europa“, Praga, 1920), nie wnosi też dowodów sprzeciwiających się temu.

JAN DURR-DURSKI

W książce „Czyn i słowo“ (Lwów, 1913) — trafnie zauważa Irzykowski: „W gruncie rzeczy jest on (Wyspiański) dość przystępnym, myśli, które ma do powiedzenia, są rzeczywiście myślami społeczeństwa, często aż do banalności“... „...tylko alfabet Wyspiańskiego jest trudny“... „...używa wielu wyrazów w jakimś specjalnym tajemniczym znaczeniu, zwłaszcza pisanych przez wielką literę“... „Niezrozumiałość Wyspiańskiego jest tedy tylko brakiem klucza; ten klucz powinni dorobić filologowie, a wtedy łatwo będzie do tej skarbnicy wchodzić i wychodzić“.

Pasjonującą ciałę, jak się okazuje, czynnością dobierania kluczy do „Wesela“ zajęli się ostatnio prof. Pigoń w studium „Goście zła świata na Weselu“ („Nauka i Sztuka“, 1946, nr 2) oraz Stanisław Gerstmann w artykule „O Chochole i Wernyhorze“, („Odrodzenie“, 1946, nr 20). W uzupełnieniu tych prac pragnę dorzucić kilka uwag mających na celu uwydatnienie zależności „Wesela“ od współczesnej literatury politycznej, ponieważ może się to przyczynić do wyjaśnienia tajemnic „alfabetu“ Wyspiańskiego.

I

Dla zrozumienia ideologii „Wesela“ posiadają, jak wiadomo, szczególne znaczenie scena rozmowy Stańczyka z Dziennikarzem, redaktorem pisma konserwatywnego. Przyjacieli poety, Stanisław Estreicher, w studium „Narodziny Wesela“ pisze na ten temat: „Z rozmów, jakie z nim po wystawieniu sztuki prowadziłem, wiem, że ogromną wagę przykładał do sceny między Dziennikarzem a Stańczykiem. Sądzę też, że w tej scenie trzeba szukać sklepieniowego klucza Wesela, pomimo, że scena z Wernyhorą najpierw się poecie przed oczyma zjawiała i najpierw została napisana“.

W scenie tej Stańczyk, nazwany Stańczyk-Wstyd, potępił, co nie ulega wątpliwości, ówczesną działalność konserwatystów, która daleko odbiegła od pierwotnego programu dawnego ich wodza, Szujskiego. Szujski, podobnie jak Matejko (druga na ówczesnym horyzoncie Krakowa wielka postać), był przyjacielem rodziny Wyspiańskiego i podobnie jak autor „Hoidu pruskiego“ pozostawił niezatarty wpływ na jego twórczość. Ale nie ten z czasów późniejszych, kiedy opierające się na nim stronnictwo konserwatywne, nazwane od „Teki Stańczyka“, której był współautorem, stańczykami, zaczęło tonąć w lojalizmie wobec Austrii a w ścieraniu się ze stronnictwami demokratycznymi wyciągać i zapisywać na ich konto wszystkie grzechy przeszłości. Nie znajdował u niego Szujski uznania jako polityk patrolujący stronnictwo, które wyrzekało się kierunku niepodległościowego woląc się oprzeć, jak powiedział K. H. Rostworowski: „...na Habsburgach jak w Jeruzalemie na Egipcie mówiąc: nie ujrzymy wojny, i głosu trąby nie usłyszymy, i głodu cierpieć nie będziemy“. Wyspiański widział w Szujskim dawnego przeciwnika Pawła Popiela, który wysnuwał program polityki utilitarnej austriackiej i żądał oddania władzy arystokracji rodowej i pieniężnej, który występował z potępieniem powstania 1863 r. i przeciw amnestii dla jego uczestników.

Wyspiański czcił w Szujskim znakomitego historyka, rewizjonistę dziejów polskich, polityka umiającego jeszcze pogodzić idealizm romantyka z realistycznym kultem siły. Na pierwotnych, dawnych poglądach Szujskiego, z czasów, kiedy zakładał w r. 1866 „Przegląd Polski“ (stałe prenumerowany w domu wychowawców Wyspiańskiego) i odcinał się jeszcze ostro od konserwatystów nastawieniem demokratycznym i liberalnym, opierają się zresztą ideologii Wyspiańskiego.

Stańczyk w „Weselu“ wskazuje jasny moment dziejowy — poświęcenie dzwonu Zygmunta. Wyspiański bowiem, nie godząc się z poglądami stronnictwa na przeszłość Polski, pragnął dojść, jak można wyznawać kult przeszłości równocześnie z dążeniem do wyswobodzenia się spod jej przygniatającego wpływu.

V

Uhliń nie ogranicza się tylko do zagadnień narodowościowych, próbuje on również wykaazać historyczną łączność Śląska Cieszyńskiego z Czechami na zasadzie tego, że Śląsk Cieszyński był przez pewne okresy lennem korony czeskiej. Wątpimy, aby ten historyczny wywód kogoś przekonał. Łużyce na przykład były lennem korony węgierskiej w XV wieku, a Neapol należał w XIV wieku do korony węgierskiej. Czy to uprawnia dzisiejsze Węgry do pretensyj do Łużyc czy Neapolu? Wysuwanie tego rodzaju pretensyj jest wprost śmieszne. Ważny jest fakt, że przed 1914 r. Śląsk Cieszyński był tak samo samodzielną częścią monarchii austro-węgierskiej, jak Czechy czy Galicja, Styria lub Bukowina. Podobnie i inne argumenty pośla Uhlika nie wytrzymują krytyki.

Zagadnienie aspiracji narodowych ludu polskiego na Zaolziu próbuje — tak jak dzi-

siejsza publicystyka czeska — sprowadzić do zagadnienia polityki antyczeskiej, zdaniem jego nawiązującej do sanacyjnej polityki granicznej z lat 1934—1938. Gdy pisze o konsulu polskim Malhomme, wytacza przeciw niemu jako argument opinie, jaką wydał o nim hitlerowcy z czasów działalności jego na niemieckim Górnym Śląsku. Oto jak pisali o nim wtedy Niemcy: „Ten wielce uzdolniony i nadzwyczaj przedsiębiorczy przedstawiciel urzędowy już w Opolu na Górnym Śląsku zdobył sobie ostrogi i udowodnił, że na żadnej placówce nie zbraknie mu nigdy niezłomności. Malhomme umiał w sposób mistrzowski i można by rzec — graniczący z działalnością konspiratora, reprezentować interesy swojego państwa i narodu“.

Jest on typem nowoczesnego przedstawiciela państwa i narodu zarazem, człowiekiem, który bierze się do rzeczy z subtelnością dziennikarza i z instynktem kupca, nie tylko przed-

»Wesele« Wyspiańskiego w związku ze współczesną literaturą polityczną

Zgodnie z przeciwnikami stańczyków sądził Wyspiański, że ciągle wypominanie błędów przeszłości, jak i obciążanie nimi stronnictwa demokratycznego, należy do metody bieżącej walki politycznej i jest manewrem politycznym. Dlatego Stańczyk-Wstyd zarzuca Dziennikarzowi nieszczerść: „acan się zalewa łzami, duszę krwawi, serce krwawi, ale znać z acana mowy, że jest tak przeciętnie zdrowy; jutro humor się poprawi“.

Zawstydzony Dziennikarz zaczyna pełną skruchy nocną spowiedź z grzechów swego stronnictwa. Przypomina się inna spowiedź — samego Szujskiego, przedstawiona w rapsodzie „Kazimierz Wielki“ (1900). Szujski nie występuje jako głosiiciel poglądów swego stronnictwa. Skruszony wobec wielkości króla Kazimierza, którego przedtem odważał się krytykować i sądzić, pada na kolana i wyznaje:

„...iżby zgłębili nie cuchło,
co ma być strawą żywych i snuć przedzę,
ażby z niej nowym ogniem życie buchło.
Historia! Dzieje! Otom jest w sumieniu
porażon sędzia...“

Skarg porażonego w sumieniu Dziennikarza na bezdrożność, głuchotę, pustkę bezmierną, brak celów jasných („Nad przepaścią stoję i nie znam gdzie drogi moje“), spodenie pokolenia — nie można w pełni zrozumieć, jeśli się nie zna ówczesnej galicyjskiej literatury politycznej o nastawieniu antykonserwatywnym. W broszurze pt.: „Psychopatia kraju przez lat 25 od stańczykostwa do skoncentrowanej demokracji“, wydanej na parę miesięcy przed „Weselem“, pisze dr Czerwiński, założyciel demokratycznej „Reformy“: „...Stańczykostwo to zabicie dla narodu aberracja“... „...nasz ogół, który się pod znakiem stańczykostwa i od tego czasu uchował i dojrział, tknięty jest przez powiew stańczykostwa charłactwem, wszystkie ohydnosci, smutki, cały nasz obecny rozstrój i upadek polityczny, moralny i prywatny są dziełmi jego, a jeżeli się nie robi tego, co się robić powinno, to także skutkiem charłactwa przez stańczyków spłodzonego“. Całe „Wesele“ jest właściwie analiza takiego stanu narodu.

Dziennikarz występuje przeciw narodowi: „Społeczeństwo! — Oto tortury najsrozsze. — śmiech, błażeństwo — to to my duchy najuboższe. — „Społem“ to jest malowanka, — „społem“ to duma panka, — „społem“ to jest chłopskie „w pysk“, — „społem“ to papuzia kochanka, — próżność, nadczłowieczeństwo — i przytem to małeństwo, — serce pęknięte, co krwawi“. Kryjąca się w słowach Dziennikarza pogarda dla społeczeństwa zanarchizowanego, w którym każdy stan swoją drogą idzie — to typowa poza stańczyków. W jednej z broszur „Kilka słów o Stańczykach“ (Kraków, 1883), czytamy: „Anarchia było zrazu powstanie, anarchią został nazwany wszelki głos o niepodległości, anarchią jakakolwiek opozycja, anarchią każdy przejaw gorętszy narodowego ducha. Stąd nieubлагana nienawiść do pracy postępowej“... „...stąd pogarda dla opinii publicznej (zob. np. Tarnowski: „Królowa Opinia“), płoszona za odwagę cyniczną, która mogłaby być podziwiana, gdyby wiadomym nie było, że tanie to bohaterstwo w niczym herosów na szwank nie naraża. Stąd też owe „strażactwo pożarne“, tłumiące ogień tam, gdzie go nie ma, drapujące się w fałdy rzymskiej togi, mającej wiele uroku, póki się nie odwinie i słomianej lalki pod sobą nie ukaze“. Przecież to po prostu streszczenie sytuacji z „Wesela“! Stronnictwo straży pożarnej, tłumiącej porwy narodowe, nazywano stańczyków. Jakże to dziwne, że w „Weselu“ w tej samej funkcji występuje również słomiana lalka — Chochoł.

Wyrażeniami zaczerpniętymi jakby z literatury antystańczykowskiej szermuje także Stańczyk-Wstyd, kiedy gromi Dziennikarza: „Puszczyku! — Zgrałeś się przy zielonym stole, — czy z kobietami w gorące — opętałeś duszę młodością, — i w tej chwili palące — oślepniesz w łasce własnej próchności“. W związku z tym nasuwają się w powyższej wspomnianej broszurze takie zdania: „Tak to i ci panowie grają... w maczka (rodzaj gry w karty)“. „Pod płaszczykiem trzeźwości

i rozumu przemycają serwilizm, propagują prostrację, pod osłoną teorii o „rządzie moralnym“ bronią koteryjnych interesów“... „...dali się im na plewy... złapać ludzie chyści i szanowni, pracować rzeczywistość chcący, ludzie wreszcie wyżsi umysłem, którzy omylną teorią zasłonili treść spróżniałą ich polityki“.

Znane wystąpienie Wyspiańskiego w obronie świętości narodowych, o których mówi Stańczyk: „...ale świętości nie szargać, — bo trza, żeby święte były — ale świętości nie szargać: — to boli“, również da się powiązać z literaturą antystańczykowską. W „Psychopatii kraju“... czytamy: „Porywając się stańczycy na nietykalne wpród świętości nasze narodowe, sprawili upadek naszej moralności publicznej i prywatnej: odtąd wszystkim wszystkim wolno i z przyczyny ich nie dzieje się, co się dzieć winno, a dzieje się, co nie powinno, i bez nich nie byłoby lamparterek politycznych i prywatnych, które są“.

Stańczyk ironicznie wyzywa Dziennikarza do takiej „lamparterki“, tj. zaawanturowania się, wręczając mu laseczkę błażeńską ze słowami: „Masz tu kaduceus, chwyć! Rządź! Mać nim wodę, mać! Na Wesele! Na Wesele! Idź! Mać tę narodową kadź, serce truj, głowę trać! Na Wesele! Na Wesele! Staj na czele!!“ Dziennikarz skruszony jednak rozmową ze Stańczykiem wyzwaną nie podejmuje i w dalszej akcji roli nie odgrywa. Scena z nim miała na celu nakreślenie tła politycznego dramatu. Grzechy przeszłości raz jednak poruszone przez Dziennikarza pojawiają się zmaterializowane w postaci Branickiego i Szeli jako wyrzut trujących współczesnych.

Depresja Dziennikarza, w którą wpadł po rozmowie ze Stańczykiem, i jego charakterystyczna skarga na zależność od nerwów pozostaje być może też w związku z broszurą Czerwińskiego „Polityka nerwów“ (Kraków, 1882). W broszurze tej wskazywał jak za sprawą stańczyków utrwała się w narodzie nastrój depresji a rozum polityczny uzależniony jest od nastroju nerwowego. Polityka nerwów — to określenie wtedy jeszcze niezwykłe.

II

Jeden z najważniejszych punktów programu Wyspiańskiego, to jego stosunek negatywny do romantyzmu. Krytyka historyczno-literacka wiele poświęciła pracy na ten temat. A jednak można jeszcze niejedno dorzucić.

Szujski był w Polsce pierwszy, który dorzucił pewne ujemne cechy tego prądu. Już w r. 1860 pisał:

„Poetyczność stała się udziałem naszego narodu od czasu politycznego upadku... Zerwaliśmy z rzeczywistością, odkąd ta rzeczywistość stała się dla nas źródłem utrapienia. Za nami znękanymi i odartymi z blasku, pozostała przeszłość obfita w chwałę i świetność, szumiąca zdobytymi sztandary i błyszczącą od złota rycerskiej zbroi; pozostała jak wspomnienie raju w dniach czyszcza. Przed nami, pokłóconymi z chwilą teraźniejszą, mgliła się przyszłość, zasłonięta chmurzykami obecności, pełna przewidywanych nadziei i błędnych świątelek, ale pełna oroku jak ład stały na widnokręgu dla skołatanego burzami żeglarsza... Z tej przorszonej boleścią poetyczności, rozlanej po polskiej ziemi, urodziły się nieszczęśliwe i zgubne natury poetyczne, dusze bez dna i spokoju, Ikary podlatujące ku słońcu, a ginące w morzu zapomnienia, ludzie, którzy się spalili w ogniu poezji, jak komary w świecy, chorowici poeci życia. Śmierć moralna przez poetyczność była jedną z licznych kar bożych, spuszczonej na nas z nieba“.

Tę „karę bożą“ w różnych kategoriach poetycko symbolicznych przedstawia Wyspiański w „Weselu“. Idąc za Szujskim uznał bowiem walkę z romantyzmem za hasło budzące się Polski. Podjął on jakby wezwanie anonimowego autora broszury „Kilka słów o Stańczykach“, który przytoczył oskarżające romantyzm słowa Szujskiego pisze:

„O mistrzu, gdybyś był w takie tylko tony uderzał, imię twoje brzmiałoby dziś między hasłami budzącej się młodej Polski! Ale jeśli takie to uczucie sprowadziło Cię na tor błęd-

stawicielem, lecz także — zgodnie z doktryną nowoczesnego państwa polskiego — mężem zaufania i przywódcą znikomej ilości mówiącego po polsku ludu, pośród którego go postawiono“.

Czy to wspaniałe świadectwo wydane przez wroga, dowodzące, jak niebezpieczny był Malhomme dla niemieckiego stanu posiadania na Górnym Śląsku, jak umiał pobudzić do aktywności polską mniejszość w Niemczech, może go zdyskredytować w oczach demokratycznego świata?

Poważne dzieło Uhlika traktujące sprawę zaolziańską z punktu widzenia Czechów, przyczynić by się mogło do jej wyjaśnienia. Niestety książka ta nie tylko nie posuwa jej na przód, ale posługując się fałszywymi statystykami, wyświechtanymi argumentami, może tylko jątrzyć i dlatego musi być uznana za wysoce szkodliwą.

Jan Walczak

ných doktryn, któż z nas odważy się potępić Ciebie!“

W tejże samej broszurze „Kilka słów o Stańczykach“ czytamy:

„W stańczykostwie bowiem pierwotnym i jego rozwinięciu teoretycznym wiele jest rzeczy, które się podobać mogą, i to tym właśnie, których powstrzymać od upadnięcia w kałużę polityki serwilistycznej najbardziej warto. Sympatyczną jest reakcja przeciw romantyzmowi, sympatycznym hasło pracy organicznej, sympatyczną dla młodzieży i idea silnego rządu, rozwinięta przez nową szkołę historyczną“... „...sympatia dla tej idei w wielkiej części wynika z sympatii do wyrazu „siła“ służącego dziś dość powszechnie za hasło antyromantyczne“.

Wyraz „siła“, lub lepiej się rymujący „moc“, jest jednym z tych wyrazów-kluczy do twórczości Wyspiańskiego. Rodzimą sympatię do tego hasła zespół Wyspiański z hasłem „woli mocy“ Nietzschego. Samo bowiem hasło siły, w tym znaczeniu, jak je głosił Szujski, nie mogło Wyspiańskiemu wystarczyć. Zagadnienie woli wypływa ustawicznie w jego utworach. Nietzsche w ten sposób określił brak woli: „jest to pragnienie czynu połączone z obawą działania“. W podobny sposób ujmował zagadnienie Wyspiański. A jaki to miał być czyn? Tu warto przytoczyć zdanie Irzykowskiego: „A jeżeli Polak mówi: Czyn, to mówi przez to powstanie; są to dla niego synonimy“.

Wyspiański zastanawiał się, kto w Polsce jest do tego czynu zdolny. Doszedł do przekonania, że wyłącznie chłop. Obawiał się jedynie zetknięcia zdrowego ludu z tą częścią narodu, którą uważał za niezdolną do czynu — dekadentką inteligencją. Ta obawa zrodziła „Wesele“. Utwierdziła ją lektura Nietzschego, który w „Woli mocy“ tak wymownie gromił wszelkie solidaryzowanie się z ludźmi zdegenerowanymi.

Wyrazów „siła, moc“ użył Wyspiański po raz pierwszy w dramacie „Lelewel“ (1899). Tytułowy bohater utworu woła: „gdzież Bóg-piorun, gdzie siła, moc?“ W „Weselu“ występuje Rycerz, który jest symbolem mocy. Pojawia się on przed Poetą ze słowami: „Ja Moc“ i wzywa go do walki, do czynu wojennego. Jakże jednak dojrzeć mógł „moc“ w Rycerzu — Poeta, który poprzednio kazał Pannie Młodej szukać Polski w sercu, bo dla niej gdzie indziej miejsca nie ma. Przecież Polska, jak obrażał się na stańczyków znany polityk Romanowicz, według nich „duchem tylko żyć powinna, ale cielesny kształt państwowo byłby dla niej zgubą“. Poeta uchylwszy przyłbicy Rycerza nie poznał w nim mocy, tylko zobaczył w nim śmierć i noc. A „noc“, jak to wynika ze strofy pierwszej rapsodu „Kazimierz Wielki“ i z rozmowy z Maską 21 i 22 w „Wyzwoleniu“ znaczy u Wyspiańskiego niewola, rozbiory.

Takie wezwanie jak Rycerza zdolny byłby odczuć tylko lud wiejski. Lud widzi rzeczy po prostu, jasno i zdrowo, dopóki mu fanaberie inteligentkie nie przewrócą w głowie, dopóki go nie zatrują swoim jadem. Tak właśnie stało się na „Weselu“. Bezład, wątpliwość, apatia inteligencji paraliżuje chłopską zdolność do czynu. Całe zgromadzenie panów i chłopów z kosami pogrąża się wspólnie w trupich obrotach chocholego tańca. W broszurze Czerwińskiego „Psychopatia kraju“... znajdujemy następujące zdania: „...gdy całe społeczeństwo zostanie więcej wyszkolone i w obowiązkach wdrożone, wówczas dopiero działać będziemy nie w chwilach uniesienia, lecz „gdy pora po temu“; wówczas przestaniemy letargami długimi i rozpaczą beznadziejną placić za chwile uniesień i wyskoków... lub spać, gdy działać trzeba“...

Dramatycznym obrazem takiego uniesienia, a potem snu, gdy działać trzeba, jest właśnie „Wesele“. Taką chwilę „uniesienia i wyskoku“ przeżył Gospodarz i zapłacił za nią letargiem, którym zarazili zdrowych chłopów. „Tyle z tego, co dobrego“, „Wszystko jedno!“ „Usypiam duszę mą biedną i usypiam brata mego“.

Jan Dürr-Durski

W PRACOWNIACH PISARZY I UCZONYCH)

Ankieta »Odrodzenia«

Jan Brzoza: Obecnie drukuje się trzecie wydanie „Dzieci” u Kowalskiego. Mam szereg planów i zamierzeń, ale zrealizowanie ich oddała się coraz bardziej. Chciałbym nadrobić stracone lata wojny i na myśl o tym, że mi się to nie uda, ogarnia mnie pewnego rodzaju panika. Dlatego, to co robię cechuje pospiech, co mi z kolei nie przynosi wewnętrzznego zadowolenia tak, że czasem tracę wiarę w siebie. Potem podciagam się i rzucam do nowych pomysłów. I tak w kółko. Rezultat: że mam masę szkiców zaczętych i porzuconych. Nagromadziła się tego spora sterta. Jakies słuchowiska, dramaty, komedie, początki powieści, nowel. Widząc, że z tego nic nie wyjdzie, postanowiłem jakoś się opanować i zacząć od początku. A więc najbardziej bliski zrealizowania wydał mi się tom nowel. Mam ich dość sprzed wojny drukowanych w różnych czasopiśmie. Zająłem się więc ich zebraniem, okazało się jednak, że do tomu przydałoby się jeszcze nowe, już z obecnych czasów. Napisałem już dwie nowele, ale chcę napisać jeszcze kilka i kiedy mi się to uda, może wyjdzie z tego wreszcie książka. Mam w tece dość zaawansowaną powieść: „Pietro Aretino”, zaczęta jeszcze przed wojną. Powieść ta wymaga jednak dużo pracy cenzylatorskiej a więc skupionej. Na to nie mam ani chwili. Wobec tego o podziemnej walce z Niemcami i zaczętych dramat. Po smutnym jednak doświadczeniu ze „Starym dzwonem” którego sprzecza aż do konizmu oce- na różnych „krytyków” tak mi dokuczyła, że ode- rwała ochotę do dalszego pisania w tym kierunku. Ktoś jednak zyczliwy kazał mi wierzyć w „Stary dzwon” i może jednak ukończę następny dramat.

Jak widać z tego sprawozdania, wszystko u mnie est płynne i mgliste. Jest to taki okres w życiu, w którym nie konkretnego powiedzieć nie można. Może się tak zdarzyć, że wszystkie to, co napisa-łem powyżej, okaże się nieważne i może nagle stworzę coś całkiem innego, o czym tu nie mówię. I dlatego zastrzegam się. A zastrzegam się dlatego, że przeżywałem okres szczególnych trudności. Poza pracą zawodową, a więc pisaniem drobnych nie mniej ważnych rzeczy i pracą „honorową”, jaką tu na Śląsku czuję się obowiązany wykonywać, a któ- re to zajęcia zabierają mi czas bez reszty — czuję się psychicznie bardzo źle. Jako repatriant zna- lażem się na nieznanym gruncie i trzeba mi jeszcze wiele czasu, żeby się jakoś zakorzenić na zacho- dzie. W tej chwili czuję się jakby zawieszony w próżni. W dodatku, ażeby przeżyć dzień, trzeba się dobrze napocić, nabiegać, a to borykając się nie sprzyja wcale twórczej pracy.

Potrzebuję równowagi psychicznej, materialnej, pewności siebie — odpoczynku i spokoju. Gdy to osiągnę, będę mógł zrealizować wszystkie moje zamierzenia i plany.

Antoni Gładysz: W dniu 8 maja br., w rocznicę opuszczenia obozu koncentracyjnego w Leitmeritz, oddałem do użytku teoretycznych i fachowych propa- gatorów podniesienia produkcji sądowiczej w Polsce podręcznik „Urządzenie i pielęgnowanie sadu” o 326 stronach druku.

W końcu maja br. oddałem do druku książkę: „Powrót z piekła hitlerowskiego” (wydanie trzecie rozszerzone).

Redaguję od marca wznowione po wojnie facho- we pismo ogrodnicze pt. „Hasło Ogrodniczo-Rol- nicze”.

Pracuję obecnie nad nową książką „Polska pomo- lologia”, która wyjdzie w dwu tomach z barwnymi tablicami. Pracę tę chcę oddać do druku jesie- nią br.

Juliusz German: Podczas wojny ukończyłem dwie powieści historyczne z XVI wieku, o których wy- danie pertraktuję z kilku firmami wydawniczymi. Obie te książki powinny wyjść w najbliższych mie- siącach. Prawdopodobnie najpierw wyjdzie „Kró- lewna i jej panny” (Katarzyna Jagiellonka w Fin- landii i w Szwecji), a potem „Dziwożona” (rzec- o Zygmuncie Auguste i Barbarze Radziwiłłównie. „Dziwożona” przerabiam na utwór sceniczny i pra- cę tę mam na ukończeniu. Pragnąłbym wystawić ją w Krakowie, marząc o Juliuszu Osterwie w roli Zygmunta Augusta. Poza tym pracuję nad tomem szkiców literackich, opartych na osobistych wspo- mnieniach. Tytuł tomu „Posród przyjaciół” (Zapol- ska, Tadeusz Pawlikowski, Jerzy Żuławski, Włady- sław Koźłicki, Jan Kasprzowicz, Antoni F. Ossen- dowski, Adolf Nowaczyński, Ludwik Solński, Kornel Makuszyński).

Wanda Karczewska: Pracuję nad ukończeniem powieści, którą zaczęłam pisać parę lat temu. Przy- puszczałam tytuł: „Dwa spojrzenia”. Fragmenty jej ogłaszałam w ub. roku na łamach „Życia litera- ckiego”. Myślę, że uda mi się uporać z pracą do jesieni. Może wcześniej, jeśli warunki dopiszą. Kto i gdzie mi ją wydać nie zastanawiałam się nad tym, myślę jednak, że wydam ją w Poznaniu.

Poza tym gromadzę materiały do nowej sztuki.

*) Por. odpowiedzi w nr nr 68—80 „Odrodzenia”.

Konrad Konior: 1) Do druku oddaje obecnie pra- cę pt. „Geologia okolicy Tarnowa”, 2) obecnie pra- cuję nad monografią arkusza Biała-Bielsko, 3) w naj- bliższej przyszłości mam zamiar zająć się proble- mami geologicznymi obszaru lubelskiego.

Karol Koranyi: Kończę obecnie czwartą część obszerniejszego podręcznika historii ustroju państw na Zachodzie Europy (Francji, Włoch, Anglii i Nie- miec).

Przygotowuję do druku indeks rzeczowo-osobowy do 50 tomów „Kwartalnika Historycznego”. Nadto jestem w trakcie zbierania materiałów do pracy o społecznych dziejach Europy.

Tadeusz Lehr-Splawiński: Silnie zaabsorbowany pracą organizacyjno-administracyjną jako rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego nie mogłem rozwi- nąć po odyskaniu niepodległości dość intensywniej pracy naukowej i pisarskiej. Musiałem się na ra- zie ograniczyć do ostatecznego przygotowania do druku i stopniowego wydawania prac napisanych w czasie wojny pod okupacją. Z prac tych najważ- niejsza, której poświęciłem najwięcej wysiłku i w której doszedłem jak sądzą do ważnych wyni- ków, książka „O pochodzeniu i praojczyźnie Slo- wian” wyszła drukiem z początkiem 1946 r. w serii wydawnictw Instytutu Zachodniego w Poznaniu (str. 246). Druga, znacznie mniejsza, o typie popu- larno-naukowym „O początkach Słowian” wyszła przed kilku tygodniami w serii wydawnictw Stu- dium Słowiańskiego Uniwersytetu Jagiellońskiego. Składa się ona z czterech części, z których pierw- sza o Praslłowianach daje popularne ujęcie zagad- nień rozwijanych w książce „O pochodzeniu i pra- ojczyźnie Słowian”, trzy następne przedstawiają genezę ludów i języków zachodnio-słowiańskich, wschodnio-słowiańskich i południowo-słowiańskich. Trzecia książka opracowana przeze mnie wspólnie z prof. Zygmunt Wojciechowski i Kazimierzem Piwarskim o wzajemnych stosunkach polsko-cze- skich wyjdzie jesienią nakładem Instytutu Śląskie- go w Katowicach. W tej chwili znajduje się w ko- rekcie jeszcze jedna moja obszerna praca z czasów okupacji: „Język polski, pochodzenie, powstanie i rozwój narzecza kulturalnego”, która daje popu- larny zarys dziejów języka polskiego a ma stano- wiąć jeden z pierwszych tomów organizowanej przez firmę M. Arcta „Biblioteki Kultury Polskiej”. Ostatnią wreszcie moja praca z czasów okupacyj- nych jest opisowa gramatyka języka czeskiego dla Polaków, która czeka obecnie na znalezienie na- klady.

Jesienią, kiedy skończy się moja kadencja rektor- ska, mam nadzieję, że będę mógł powrócić do bar- dziej intensywniej pracy naukowej nad częściowo jeszcze przed wojną porzucenymi tematami, w pierwszym rzędzie nad zagadnieniami słowic- twa praslłowiańskiego. Spodziewam się też, że wkrótce będę mógł przystąpić do zorganizowania przerwanej przez wojnę zbiorowej pracy nad no- wym „Słownikiem Języka Polskiego”, którego pierwszy tom (zawierający litery od A—K, nadto zaś zeszyty 10—12 z t. II, lit. L—N) ukazał się przed wojną nakładem firmy Trzaska, Ewert i Michalski. Całkowity skrypt Słownika, przewieziony po wy- buch wojny do Warszawy na szczęście ocalał tam w piwnicach firmy nakładowej tak, że po uzupeł- nieniu niektórych braków i uporządkowaniu ma- teriału będzie można przystąpić do dalszej publi- kacji.

Hilary Majkowski: Przed kilku dniami złożyłem księgarzowi Zdzisławowi Gustowskiemu w Pozna- niu rękopis pt. „Roman Wilkanowicz, pieśniarz Ziemi Wielkopolskiej”. Praca ta jest rozszerzonym odczytem wygłoszonym na Czwartku Literackim Zawodowego Związku Literatów w Poznaniu w dniu 27 grudnia ub. r. Tadeusz Leszner w Warszawie drukuje w tej chwili: „Słów kilka o exhibicji” oraz jedną z moich ballad (napisaną w 1942 r. w cza- sie mego pobytu w Warszawie); całość tego tomu — częściowo w arkuszach wyciżconego — spłoneła podczas katastrofy 44 r. w drukarni „Kolumna” (właściciel Zygmunt Kozierekiewicz) przy Nowym Świecie w Warszawie. Dla „Kroniki miasta Pozna- nia” opracowałem „Bilans strat plastyki poznaj- skiej w latach 1939—1945” (około 3 arkuszy druku). Ukazanie się tej publikacji na półkach księga- rskich zapowiada wydawca na lipiec br. Jestem w poszukiwaniu nakładcy na tom wierszy (tytuł nie ustalony), oraz monografi o warszawskim artyście- introligatorze Franciszku Radziszewskim († 1942 r.). Na ukończeniu mam obszerne studium pt. „Zyg- munt Szplinger i jego malarstwo sceniczne”. O dal- szych planach na przyszłość trudno mi cokolwiek powiedzieć, zmuszony jestem bowiem zarobkować w prasie, teatrze i radio.

Józef Nacht: 1) Po zamknięciu bilansu stro- żnierskich (10 tomików wierszy i prozy), rozpoczy- nam okres cywilny. W ciągu najbliższych tygodni

ukaze się mój tomik satyr „Na odlew”, tom nowel o Żydach pod okupacją „Siedem wici surowych...” oraz, z czego jestem najbardziej dumny, wybór utworów legendarnego Koźmy-Prutkowa, którego trzy fraszki przetłumaczył kiedyś Tuwim. Lada dzień na witrynach księgarskich spocznie (mam nadzie- je, że niezbyt długo będzie spoczywała) żartobliwa opowieść awanturnicza „Szukamy pana H.” napi- sana wspólnie z przyjacielem i „ozdobiona” rysun- kami Miklaszewskiego.

2) Opracowuję antologię współczesnej poezji ra- dzieckiej.

3) Chciałbym równolegle z „Kocyndrem”, wyda- wać pismo satyryczno-literackie, które skupiałoby obok naszych literatów i satyryków sowieckich i czeskich. Sądzę, że pierwszy numer ukaze się w sierpniu.

Mieczysław Opalek: Podczas wojny pracowałem bardzo intensywnie. Gdy Niemcy palili z pasją dzieła Helnego, wyle godzin spędziłem nad pra- cą nad jego wierszy ze zbioru „Buch der Lieder”. Poza tym przygotowałem do druku kilka tomów essayów z tytułami: „Patos i groteska”, „Tajemnica starego kantorka”, „W ogrodzie imion niewie- ściach”, „Persony i figury”, „Fanaberie i dziwac- twa” oraz szkice z historii grafomanstwa polskiego pt. „Na chromym pegazie”. Znalazłem nakładcę na trzy książeczki dla dzieci, jedna z nich wyszła z druku. Ostatnio na scenach w Przeworsku i Łań- cutcie grała moja baśń sceniczna „Czarodziej- skie ziele”.

Jan Pachonński (pseud. Lubicz): Obecnie drukuje się moja praca habilitacyjna: „Wojna francusko- neapolitańska 1798—9 i udział w niej Legionów Pol- skich” (str. 800). Przygotowana w ciągu pięcioletnich badań za granicą, wykańczana w czasie okupacji, obrazuje walki legionistów Dąbrowskiego na tere- nie Włoch Środkowych i Południowych, na tych sa- mych odcinkach, na których niedawno jeszcze krwa- wili się bohaterzy spod Monte Cassino.

W Polskim Słowniku Biograficznym ukaze się nie- bawem życiorys Józefa Drzewieckiego (1772—1852) posta, wicehrzadiera, pamiętnikarza i działacza kulturalno-społecznego; nieco później życiorys ge- nerała broni Karola Trzaski-Durskiego, komendanta Legionów Polskich z ramienia Austrii (1914—18).

Na liście zamierzonych wydawnictw Głównego Ko- mitetu Kościuszkowskiego znajduje się „Kościusko w niewoli carskiej, 1794—6” (str. 150), rzecz opar- cowa w oparciu o mało znane materiały, głównie rosyjskie, która jest zresztą tematem moich wykła- dów uniwersyteckich w III trymestrze. W toku są pertraktacje o wydanie aktualnego życiorysu „Woj- ciecha Bartosza Głowackiego, bohatera spod Ra- cławic”, (str. 70), do którego znaleziono sporo da- nych w archiwach. W Polskiej Akademii Umiejęt- ności czeka cierpliwie na swoją kolej przyjęta do druku już przed wybuchem wojny rozprawa pt. „Królestwo Obojga Sycylii a Wielka Rewolucja Francuska”.

Obecnie pracuję nad „Kościuszką na emigracji, 1796—1817”; okres ten, niewątpliwie najmniej znany z życia Naczelnika, winien być jak najprędzej wy- czerpniętym, dla umożliwienia wydania nowej monografii o bohaterskim „Wodzu w suk- manie”.

Jedną z firm krakowskich zamówiła u mnie w o- kresie konspiracji parę prac, m. in. „Szkice z dzie- jów rewolucji w Polsce”, „Szkice z czasów Wiel- kiej Rewolucji Francuskiej” itd., które ukazały się drukiem.

W najbliższej przyszłości zamierzam pisać czy ra- czej wykańczać zależnie od czasu i możliwości fi- nansowych: 1) Dzieje Legionów Polskich 1797—1807; 2) Słownik biograficzny ok. 800 oficerów legio- nów; 3) Historię jazdy polskiej w dobie napoleo- Ńskiej; 4) Polaków w Rzeczypospolitej Parteno- Ńskiej; 5) Historię wojskowości polskiej. Rzeczy te pragnę udostępnić szerokiej publiczności już choć- by dlatego, że materiały źródłowe z których ro- biłem opisy i wyciągi, uległy w dużej mierze zni- szczeniu w czasie wojny i utrwalenie ich w okresie późniejszym byłoby nad wyraz skomplikowane i trudne. Pragnę się jednak przerzucić jak najpr-ęd- dziej do badań czasów najnowszych. Z czasów kon- spiracji zachowałem, mimo 9-krotnych aresztowań i rewizji w moim domu, część zapisków (zaszyfro- wanych), możliwe więc, że zacznę od wspomnień z tego okresu. Nie jest też wykluczone, że zajmę się sprawą „Górali w czasie okupacji”, którym to problemem żywo interesowałem się w czasie wojny.

Ks. Henryk Weryński: Państwowy Instytut Wy- dawniczy w Warszawie wydał w dniach ostatnich moją aktualną pracę pt. „Katołicy radykalni”. Jest to moja trzydziesta z rzędu broszura, „jubileuszowa”.

Jeśli chodzi o moje książki, to opracowuję obe- cnie trzecie wydanie mej książki pt. „Niedzielnia siejba”.

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA

»CZYTELNIK«

STEFAN ŻEROMSKI

POPIOŁY

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

W TRZECH TOMACH

ŁĄCZNA OBJĘTOŚĆ

833

STRON

CENA

KOMPLETU

ZŁ 480

DO NABYCIA

WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

WOJCIECH ŻUKROWSKI

Z KRAJU MILCZENIA

STR. 278 STR.

ZŁ

— 180 —

WRZESIEŃ 1939 — OBOZY

PARTYZANTKA A.K.

MICHAŁ SZOŁOCHOW

CICHY DON

TOM PIERWSZY

CZĘŚĆ I

STR. 144

ZŁ. 100⁼⁼

CZĘŚĆ II

STR. 168

ZŁ. 120⁼⁼

CZĘŚĆ III

STR. 227

ZŁ. 160⁼⁼

DO NABYCIA

WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

»CZYTELNIK«

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA

Dr Stanisław Jagielski. Sclavus saltans. Wspomnie- nia lekarza obozowego. Warszawa. Lekarski Insty- tut Naukowo-Wydawniczy, 1946; str. 116 i 4 nl.

„Czytelnik będzie może zaskoczony, że w opo- wiadaniach moich życie w obozach koncentracyj- nych wygląda dość ciekawie i barwnie”.

Istotnie, czytelnik jest zaskoczony i niemiłe zdzi- wiony. Autor był dzieckiem trafu i zawodowym leka- rza w lepszym położeniu niż tysiące zamkniętych w obozach, należących do „prominentów” w Oświę- cimiu, potem w Hamburg-Neugamme i Gross-Rosen, wreszcie w roli więźnia-lekarza odkomenderowany do obozu pracy przymusowej w Płaszowie. Pełnił nawet funkcje lekarza głównego, miał, jak na wię- żnia, dość szerokie uprawnienia. Bywało, że nie nosił więziennego ubrania, lecz „krótkie sportowe spodnie i koszulę bez numerów” (obozowych). Po- ruszał się swobodnie i miał nawet rower. Mógł lu- dziom świadczyć wiele dobrego. Stykał się wciąż z „panami” i cieszył się opinią starego bywalca koncentracyjnych obozów o niskim numerze, tacy zaś mieli względy nawet u najdzikszych SS-manów. Gdy w wigilię Bożego Narodzenia zorganizowano w Gross-Rosen wieczer, dr Jakubowski przemawiał ze sceny, w pasiaku, zaczynając od obecnych na sali widzów:

„Ze dziś możemy obchodzić tu nasze piękne święto, zawdzięczamy to...”

Verdanken wir...

Zaskoczenie przeraża się jednakże w otwartą nie- chęć, im więcej wczytujemy się w literacki pa- miętnik obozowego lekarza. Już opowiadanie o po- bliżności niektórych SS-manów dla tzw. „orga- nizatorów”, tj. uprawiających przemysł mydła, o- łówek, odzież, nawet ryb, tłustych, żywych kar- pi i margaryny dziesiątkami kilogramów, nie wy- staje się ilustracją zaniżaną stosunków w obozach zniszczenia. Jeżeli jednak polega na prawdzie, nie- chaj dopełni obrazu w imię realizmu. Cóż, kiedy wiele miejsca poświęcono sportowi, zwłaszcza piłce nożnej i boksowi. „Oświecimiacy” wygrali w Ham- burgu w przedmeczku i meczu.

„Zwycięstwo było drugocenne.”

Komendant obozu zachował się jak gentleman Zszedł z trybunu, wezwał do siebie „Lagerältestera” — Zasiadli na zwycięstwo — rzekł — dać im wa- runki do dalszego treningu”

Jeszcze lepiej powiodło się w boksie Teddy Pie- trzykowskiemu z warszawskiej YMCA, który zno- koutował mistrza w wadze półciężkiej Schally Kautenbacha. „Płotka obozowa roznośła, że ko- mendant obozu w zakładach między SS-manami! postawił na Teddy’ego”.

I tego jeszcze mało. W obozach kwitła „kultura i sztuka”, zwłaszcza zaś muzyka. „Nie było obozu w Niemczech, gdzieby grupa więźniów nie stwo- rzyła zespołu orkiestrowego, nie było obozu, który by nie mógł pochwalić się znanym tenorem lub basem”. Szczególny tytuł do sławy miał pod tym względem Oświęcim, który „posiadał niewątpliwie najlepszą orkiestrę, jaką znała wojenna Europa”. Muzycy — około 200 — zaopatrzeni byli w dosko-

nały sprzęt i nuty, rekrutowali się zaś z branki dokonywanej przez SS wśród wirtuozów i sław orkiestrowych w całej Europie. „Produkcja ich spotykała się z żywym nastawieniem Niemców”. Gdy pierwszy skrzynek Filharmonii warszawskiej, Włodarski, odegrał kujawiaka Wiemawskiego, „po- rwnali byli nie tylko Polacy. Rzęście brawa sy- pały się ze strony obozokrajowców, SS-mani uśmie- chali się z aprobatą, a jakiś gruby Austriak wdra- pał się na estradę i palnął okolicznościową mowę na temat muzyki, która „jednoczy narody”.

Istotnie, o orkiestrach, muzyce i niemieckich me- lomanach pełno jest wzmianek we wspomnieniach i dokumentach obozowych. W Treblince była or- kiestra, dyrygowana przez Artura Golda. W Sobib- orze uprawiano muzykę i tańce. „Chciano — opo- wiada Leon Feldhendler — w więźniach zabić myśl o wyswobodzeniu się, chciało uczynić z nich tepe, beznamiętne narzędzie”. Na komendę śpiewali wię- źniowie Treblinki „Beiz” i „Góralu, czy ci nie żal”, „Iwan” i „Heimat”. W Skarżysku — ze- znaje Amalia Berigam — przy dźwiękach pięknej muzyki i śpiewu wyprowadzono nasze biedne dzie- ci. Wyciągały rączką, błagając o pomoc. Gestapowcy bili nas kolbami, po głowach, plecach i gdzie popadło. Tak odbył się pogrzeb naszych dzieci”. W Treblince „dymili się groby naokoło. Bywały dni, że zgładzano po 25 tys. ludzi... Ale po tej pra- cy musieliśmy stać na placu i słuchać skocznej mu- zyki orkiestry obozowej, tanga itd.”. („Dokumenty i materiały z czasów okupacji niemieckiej w Pol- sce”, Łódź, 1946). Oto co tkwiło poza mecenatem sztuki, uprawianym przez kapów, blokowych, SS-ma- nów i komendantów.

Sprzeżenie czytelnika rośnie, aż przechodzi w pro- test. Rzecz bowiem jest zasadnicza:

Dr Jagielski był lata całe pogrążony w nieszczęściu i wraz z milionami nieszczęśliwów przebywał w środowisku ludzi zamurowanych żywcem w gro- bie. Panowała tam moralność żywego grobu, cy- nizm wynikający z ciągłego wybierania mniejsze- go zła, jak bardzo trafnie określa to Krzysztof Radziwiłł, sam więzień koncentracyjnego obozu i autor przedmowy do wspomnień dr Jagielskiego. Ta przerażająca, tragiczna resztką moralności, w istocie rzeczy zaprowadziła ludzi w obozach i ghetta, maltretowanych, przeznaczonych na śmierć i mordowanych — daleko poza granicę ety- ki. Spustoszenie, a zarazem ogrom niemieckiej zbrodni, lepiej może niż wszystko wyraża taki oto pogląd lekarza obozowego, zresztą dobrego Polaka i dziś znów normalnego członka społeczeństwa: „Stanowisko lekarzy-więźniów w stosunku do uśmiercania ciężko chorych więźniów było dwo- jakie: albo zdecydowanie negatywne, albo części- wo usprawiedliwiające konieczność likwidowania nieuleczalnie chorych. Mam odwagę przyznać się, że należałem do tej drugiej grupy”.

I dr Jagielski tłumaczy, dlaczego „przestrólił” swój punkt widzenia na obozowe warunki, jak do- szedł do tego, że „co innego teoria, a co innego praktyka”. Więc gruźlicy zakazali zdrowych. „Mil- mo koszmarniej rozterki przyjemnym fakt: gdy Niem-

cy zabrali do gazu chorych z otwartą gruźlicą, jako jedyne wyjście z sytuacji”. Innym razem chodziło o dwu Włochów z sączącymi się wrzodami luetycz- nymi. Innym jeszcze o potrzebę — niedość zresztą uzasadnioną, jak się później okazało — pozbicia się współwięźniów, który przesłuchiwany w „Politische Abteilung”, zaczął „sytać”.

Depresja moralna o poziomie barometrycznego niżu! Winniśmy bić na alarm! Zaktywizować wszystko co możliwe do walki o odbudowę moral- ności. Społeczna liga o najszerszym zasięgu wydała się jedną z najpilniejszych potrzeb, równie ważną jak zasilewy, mające zapewnić chleb ludziorom. I ci, którzy byli w obozach i ci, którzy pozostawali poza nimi, ulegli porażeniu, ich moralny system został wstrząśnięty. Lata niewoli nie upłynęły bezkarnie. „Życie w obozie, bezpośrednie zetknięcie się z be- stialstwem niemieckim i wierne lawirowanie mię- dzy życiem a śmiercią, wyrobilo mi specjalny świa- topogląd” — pisze dr Jagielski.

Jaki?

„To było życie, które uczy, — szkoła, która wpaja głęboką wiedzę specjalną”.

Jaka?!

Długoletni męczennik i dobry obserwator otocze- nia i siebie samego, niepokoi bardzo, wysuwa pro- blematykę, każe myśleć i działać intensywnie, aby jak najprędzej odciąć się od nauk, wiedzy i światło- poglądu, zdobytego za kolczastym drutem.

Można było nawet w tym życiu znaleźć pewien smak, odczuwać dla wspomnień o nim coś w ro- dzaju sentymentu. „Jeżeli opisuję tu chwile mi- nione i zabarwiam je pewnym rozrzewnieniem, to nie dlatego, że żał mi tych chwil, lub brzo Boże, chciałbym do tego okresu wrócić”.

I nawet, jeżeli ktoś zapyta wprost, to były wle- dzień odpowie:

— „Nie znamnowałem czasu przeżytego w obozie i nie żał mi wcale lat, pozornie straconych”.

W naszym życiu psychicznym, zwanym duszą, są różne elementy. Są, utajone w suterynach, poniżej progu tego, co dotąd zbadała i przeżywała psycho- logia. W mrocznych podziemiach duszy czają się dyspozycje, które pod potwornym naciskiem ter- roru i zorganizowanej śmierci, stosowanym jako system przez faszizm, poczęły działać. Wypłynęły i podniosły się w górę instynkty i popędy, które skazywały psychikę ludzką. Znalazło się nawet mie- sce na jakąś psychiczną odmianę masochizmu, na podziw dla huraganu zła i zbrodni, za same jej roz- miary, jak żywym podziw dla żywiołu wezbranej wody, czy ognia, choć niosą zniszczenia.

„Czytelnik po przeczytaniu tych kilku kartek mógłby właściwie odnieść wrażenie, że życie w o- bozie nie było takie surowe...” Autor zdaje sobie sprawę z tego i — nie umie temu zapobiec. Wielu, bardzo wielu z nas przeżyło obozy za drutem i obóz powszechny okupacji i powróciło do swych domów. Lecz powrót nie jest jeszcze zupełny i ba- gaż zebrany w upadającym zamknięciu trzeba gruntownie zrewidować.

Józef Sieradzki

Pare uwag o egzystencjalizmie

U źródeł wiersza, u źródeł miłości
Własnej wielkości słyszę echo wierności,
Jak gorzka, mroczna i głośnie cysterne,
Która brzmi w duszy pustą swą przyszłości.
(Paul Valéry „Cmentarz morski”)

„Dusza jest próżnia; człowiek nicością; nie skorupa stanowi naczynie, lecz jego wewnętrzna pustka” — te wypowiedzi czolowego dziś we Francji przedstawiciela egzystencjalizmu, Jean-Paul Sartre’a, potwierdzają głoszone w cytowanych powyżej wierszach Valéry’ego poglądy: że po odrzuceniu z przeżyć naszych wszystkiego, co przypadkowe i nieistotne, pozostaje — nicość. Nie ma koniecznych treści psychologicznych. Konieczne są tylko środki, które wiedzą ku pewnym celom, lecz nie cele same. Jeśli chcę np. jechać do Anglii, muszę przekroczyć morze; lecz czyż muszę w ogóle tam pojechać? Żaden z celów życiowych, ku którym zmierzamy, nie jest sam w sobie konieczny: wynika on z naszego wolnego wyboru. Człowiek — to chłonna próżnia, która czeka na wypełnienie przez jakiegokolwiek zawartości, puste naczynie, które tylko wtedy funkcjonuje, gdy dopływają doń coraz nowe treści. Jeśli jednak cyrkulacja ustaje, jeśli w przerwie między zniknięciem jednego a pojawieniem się drugiego doznania nastąpi chwilowy choćby zator, już — jak dzwonek alarmowy, głoszący konieczność natychmiastowej pogoni za nowymi przeżyciami — wyłaniają się dwa podstawowe dla psychologii egzystencjalistycznej fenomeny: lęk i nuda. Nie obawa przed groźącym niebezpieczeństwem, przed czymś konkretnym, lecz lęk właśnie przed nicością, tą nicością, która stanowi naszą istotę. Przed nią to uciekamy w tzw. wir życia; szukając zapomnienia o tym, że zabijamy czas — czmyłkowicie: pracą, ambicją, miłością. Lecz gdzież jest ten, kto by odrzucił wszystkie konteksty i nie próbował niczym usprawiedliwić swego istnienia, kto by zgodził się na swoją niepotrzebność w świecie i spojrzął w twarz własnej nicości? Myśl egzystencjalistyczna jest całą wołaniem o takiego właśnie psychicznego bohatera.

Człowiek w świecie jest zbędny i niepotrzebny; czyż zresztą można w ogóle powiedzieć, że jest? Rzeczy, ciała materialne — istnieją; lecz on umieszczony w punkcie przecięcia przeszłości i przyszłości, podzielony między wspomnienia i zamiary, zawsze — albo już był albo chce się stać. Ma się on tak do świata materii, jak ciało płynne do stałego: jest wieczną ucieczką i zmianą, ucieczką przed własną zmiennością w spokój i bezruch rzeczy. Dążenie jego jednak ku stałości zawiera w sobie zarodek własnej klęski. Człowiek bowiem, póki żyje, nie może określić się ostatecznie; dopiero śmierć wykuwa mu ustalony charakter, kamienne na wieczność oblicze. „Jeśli np. — pisze Robert Campbell w książce „Jean-Paul Sartre ou une littérature philosophique” — pragnę stać się znakomitym wodzem, to chcę nim być dla potomności i aby zamiar ten urzeczywistnić, muszę czekać kresu swego życia... Będę nim dopiero, gdy umrę. W rzeczywistości bowiem decydują o mnie inni ludzie, a swoboda moja i nieprzewidywalność, póki żyję, nie pozwala im na wysnucie ostatecznych o mnie wniosków. Jeśli, mając lat 60, ocale kraj przed nieprzyjacielem, nie będę przez to jeszcze wielkim wodzem; nikt bowiem nie może odgadnąć, czego dokonam w 25 lat później...” Słowem, jak w wypadku Pétaina — do którego przejrzyście aluzję czyni tu francuski autor-człowiek — póki żyje, jest nieustalony; wielkim (czy jakimkolwiek innym) staje się — jak mówi poeta — dopiero, gdy zejdzie z oczu. Dążenia jego zatem zawierają w sobie wewnętrzną sprzeczność: chciałby płynąć i zastagnąć, stać się i stać się równocześnie: chciałby być Bogiem. Tylko Bóg bowiem łączy w sobie świadomość i wieczność. Człowiek jest „bezsłuszną namiętnością”.

Każdy czyn nasz jest wolnym, nie-determinowanym przez jakiegokolwiek przyczynę, wyborem, skokiem na oślep w nieznane. Tej swobody właśnie się lekamy i przed nią to uciekamy w stałość: zdobywamy majątek, imię, stanowisko, byle się do czegoś „przyklepić”, byle czymś swe istnienie uzasadnić. Wszelką próbę ustalenia się człowieka w czymś konkretnym określają egzystencjaliści jako jego „lepkosć”. Oznacza ona stan pośredni między płynnością a stałością, między duchem a materią. Gdy człowiek pozwala rzeczy zatryumfować nad sobą, gdy wyrzeka się swej wolności, by umieścić się w konkretnej sytuacji życiowej, wchodzi w królestwo „lepkosci”.

Ucieczką przed sobą jest również wszelki kontakt z drugim człowiekiem. Cudze spojrzenie, które na mnie spoczywa, zamienia mnie momentalnie w rzecz, pozbawia mnie wolności: dla siebie jestem nieprzewidywalny i wciąż nowy, lecz dla drugiego jestem charakterem o określonych cechach, których działanie można przepowiedzieć. Na tym polega swoista tortura cudzego spojrzenia, którą zadajemy i ponosimy równocześnie. Pod ostrzałem cudzych oczu przestajemy być sobą, ogarnia nas wstyd, że w ogóle istniejemy, że jesteśmy tu, niepotrzebni i nijacy, z istoty wolnej i decydującej o sobie zamieniamy się w łatwy do przewidzenia mechanizm. Toteż wszelki stosunek dnu osobowości, które się

wzajemnie ograniczają i wiążą, polega na walce: istotą erotyki np. jest zmaganie się dwóch wolności. „Postulatem miłości jest jednak to — pisze Sartre w „Bycie i nicości” — aby druga osoba, mimo żeśmy ją sobie przywłaszczyli, pozostała wolna”. Jest to niezmordowana gra dwu indywidualności, które pozornie się poddają po to tylko, aby zwyciężyć. Każda pozwala oświecać się na chwilę, by z kolei dominować. Stąd ustawiczna walka kochanków między sobą i ustawiczne niezadowolenie. Jeśli bowiem uda się nam zawładnąć ukochaną osobą do tego stopnia, iż wyrzeka się ona dla nas swej osobowości, iż jesteśmy jej niejako pewni, przestaje nas tym samym interesować. Jeśli znowu próba ujarznienia się nie powiedzie, pojawia się zazdrość. W obu wypadkach szczęście jest nieosiągalne lub osiągalne tylko chwilowo. W psychologii egzystencjalistycznej każde dążenie ludzkie jest z góry skazane na niepowo-

St. W. Balicki nazwał „Dwa teatry” Szaniawskiego najważniejszym wydarzeniem teatralnym ostatnich lat w Polsce. Znamy i publiczność podzielili to zdanie. „Dwa teatry” cieszyły się dużym powodzeniem u Adwentowicz. Jest paradoksem, że sztuka tak świetna i tak nabrzmiała doniosłymi problemami nie wywołała do tej pory dyskusji.

A więc nie pracujemy jeszcze wspólnie w sprawach sztuki; nie ma współdziałania i oddziaływania; myśli i wzruszenie padają w próżnię. Irzykowski pisał niegdyś z gorącością, że ludzie dzielą się na dwie kategorie: głuchych i głuszców. Czyżby miał rację? Czyżby egoizm i egocentryzm opanowały ludzi pióra?

Nie traćmy nadziei. Tadeusz Peiper, który już bezpośrednio po premierze napisał o niej głębokie sprawozdanie, dał w numerze 79 „Odrodzenia” przemysłowy pogląd na „Dwa teatry”. Sądę, że inni znawcy również zabiorą głos. Ponieważ w artykule Peipera zdanie moje (wyrażone w „Twórczości”) zostało ostro zaatakowane, odpowiadam. Może przyczynię się w ten sposób do pewnego rozszerzenia dyskusji.

„Comparaison n'est pas raison”. Mają rację mistrzowie dialektyki — Francuzi. Tylko z wielką ostrożnością należy używać porównań, jako narzędzi dyskusji. Nigdy bowiem nie wiadomo, czy „tertium comparationis” zostało trafnie wybrane.

Bronięm w „Twórczości” autora „Dwóch teatrów” przed zarzutem, że nie przeciwstawił należycie realistycznemu teatrowi — teatru fantazji. Wyraziłem przypuszczenie, że przeciwstawienie takie nie było artystycznie zamierzone, gdyż „Dwa teatry”, mimo swego tytułu, nie są sztuką o dwóch typach teatru, ale raczej próbą wyciągnięcia wszelkich konsekwencji z idei integralnego realizmu. Tadeusz Peiper uważa moje twierdzenie za błędne. I, aby mnie pognać, taką snuje przypowieść: „Iks i Ypsylon przebywają w 2 domach położonych przy ul. Jagiellońskiej, jeden w domu nr 5, drugi w gmachu nr 3; przychodzi ktoś i powiada wam, że Iks i Ypsylon przebywają w jednym budynku, bo dom nr 5 i gmach nr 3 przylegają do siebie ścianami! Dla tego jednoczyciela nie znaczy nic, że do obu budynków wiodą 2 różne bramy, że oba zasadniczo różnią się od siebie przeznaczeniem, architekturą, mieszkańcami i ich życiem, natomiast ważne jest dla niego to, że przylegają do siebie ścianami. Są umysły, które mają nie-pohamowaną skłonność tworzenia jedności, nawet wtedy, kiedy są one bezużyteczne”.

Zanim artykuł Tadeusza Peipera ukazał się w druku, ale już po jego napisaniu — ogłosił Stefan Flukowski wywiad z Szaniawskim w nr 77 „Odrodzenia”. I oto okazało się, że sam twórca budynku p. n. „Dwa teatry” dostrzega ową rzekomo „bezużyteczną” jedność. Posłuchajmy:

„Ja tam (tj. w „Dwóch teatrach”) nie przeciwstawiam tych dwóch koncepcji — realistycznej i wizyjnej — jako dwóch gatunków odrębnych i wzajemnie sobie przeczących. Chodzi raczej o jedną koncepcję teatru, gdzie dwa te czynniki są tylko dialektycznymi przedstawieniami tego samego zjawiska. Ani dyrektor realistycznego teatru „Małe Zwierciadło”, ani jego przeciwnik w dyskusji, dyrektor teatru „Snów”, nie są przedstawicielami dwóch odrębnych i bezwzględnie uzasadniających się światów”.

Cóż wobec tego począć z przypowieścią o dwóch domach? Czyż nie znaczy głos architekta, który widzowi patrzącemu z zewnątrz i dostrzegającemu fałsz, wyjaśnia, że on sam kazał poprzebijać przejścia, umożliwiające swobodne komunikowanie się bohaterów?

Nie koniec na tym. Sam mój Szanowny Oponent twierdzi: „A jednak, gdy nadeszła wojna, okazało się, że to, co poczęta wyobraźnia, było bardziej realne, niż poglądy realisty”. A więc autor dostrzega wewnętrzne związki

dzenie: jest ono bowiem próbą ucieczki przed sobą, która w istocie jest niemożliwa. Ideałem moralnym byłby człowiek, który, przystając na własną wolność, zgodziłby się żyć we wiecznym leku. W praktyce — może nim być bohater „Lochów Watykanu” Gide’a, młody Lafcadio, który popełnia morderstwo bez jakiegokolwiek przyczyny, dla zadokumentowania jedynie swej niezależności od świata. Lecz bądźmy sprawiedliwi: może nim być również konspirator, dla którego dokonany zamach jest nie czynem społecznym potrzebnym, lecz tylko manifestacją swej wolności, „pokazaniem się”. Tak np. w powieści Roger Vaillarda „Smieszna gra” bohater, członek partii komunistycznej, konspiruje przeciw Niemcom raczej dla zachowania postawy moralnej, niż z pobudek ideologicznych. Tak też w „Muchach” Sartre’a Orestes, zabijając Klitemnestrę, przyjmuje na siebie świadomie wieczny pościg Eryni, wieczny lęk, wieczną wolność.

między realizmem a irrealizmem w utworze Szaniawskiego. Sam więc zdaje się przyznawać, że nie ma głębokiej i ostrej antynomii między tymi pojęciami.

Można by pójść jeszcze dalej i dostrzec, że w „Dwóch teatrach” zarysowuje się cień... teatru trzeciego. W pierwszym akcie, w rozmowie z dyrektorem „Małego Zwierciadła” wożny wspomina o jakimś innym jeszcze teatrze, teatrze deklamatorskim, teatrze patosu i koturnów, gdzie aktorzy nie grają, lecz jakby... czytają laurkę. Temu teatrowi przeciwstawia się „Małe Zwierciadło”. Ale czy teatr taki jest identyczny z teatrem Snów? Na pewno nie! Można by, gdyby ktoś chciał, różniczkować typy teatru (jako zjawiska) w sposób następujący: a) teatr „laurki”, b) teatr przeżywania czyli „Małe Zwierciadło”, szukające prawdy sugestywnej i sprawdzalnej, c) teatr czystej wyobraźni.

Nigdy nie negowałem wartości „teatru snów”. Sam przytaczałem w „Twórczości” sztuki, które bym do tej kategorii zaliczył. Gdy król Zygmunta w „Życiu snem” Calderona pod wpływem tragicznych kolei swego losu traci poczucie różnicy między snem a jawą, gdy w jego życiu piętrzą się wypadki, jak w fantasmagorii — znajdujemy się zapewne na granicy owego teatru wizyj. To samo można by powiedzieć o zjawach z drugiego aktu „Wesela”, o postaciach zaludniających poetyckie sztuki, utwory Giraudoux („Intermezzo”, „Ondino”), Cocteau, Elliot, Camusa, Flukowskiego i Świrszczyńskiej („Orfeusz”), o „Szóstym, szóstym” Peipera, a także o „Człowieku, który był Czwartkiem” w inscenizacji Radulskiego. Inny, jeszcze wyraźniejszy przykład — to „Inconnue d’Arras” Salacrou. W godzinie (czy minucie) śmierci, zgodnie z wierzeniem ludowym, przesuwają się konającemu przed oczyma całe dotychczasowe jego życie. Ale przesuwają się w jakiejś fantastycznej, odkształconej postaci. Decydującą rolę gra nieznajoma, którą bohater sztuki ujrzał kiedyś przelotnie na ulicy i nawet nie zwrócił na nią uwagi. To co było w życiu kolorowe i mocne, odbarwia się i błędnie. Rumieńców nabierają inne, dotychczas zatajone, czy nieznane sprawy.

Takiego przecięcia węzłów między rzeczywistością a fantazją nie widzę w „Dwóch teatrach”. Wbrew zdaniu Tadeusza Peipera, dyrektor teatru „Małe Zwierciadło” myśli o wystawieniu owego nierealistycznego dramatu katastroficznego, dotyczącego zburzenia miasta. Rozmawia już nawet o tym z maszynistą. Tylko opór aktorki udaremnia realizację (ach! znowu realizm, przynajmniej w etymologii). Sprawa jest więc o wiele bardziej złożona, niżby się mogło wydawać. Może nie powinno się jej włączać w zbyt sztywne schematy artystycznego dualizmu?

Sprawa skomplikowana nie musi być jednak pozbawiona przejrzystości. To nie przypadek, że właśnie dyrektor realistycznego teatru „Małe Zwierciadło” jest obecny cały czas na scenie w akcie pierwszym i trzecim; a chociaż w drugim materialnie obecny nie jest, domyślamy się go za kulisami, nieledwie słyszemy głośny jego oddech i przyspieszone bicie serca. Bo przecież pokazują nam tutaj jego teatr, teatr konsekwentnego realizmu. Wystarczy z tym porównać fakt, że dyrektor Teatru Snów zjawia się dopiero pod koniec III aktu i to jako... zjawia.

Czy można się dziwić, że Szaniawski właśnie koncepcję teatru realistycznego obrał za punkt wyjścia? Punkt taki może być tylko jeden; nikt nie może rozpoczynać drogi z kilku miejsc równocześnie. Autor „Dwóch teatrów” dostrzega wszystko, co się po z teatrem realizmu rozwija (i to, co go poprzedza) — ale dopiero jako perspektywę, antytezę, czy uzupełnienie. (Marginesy wcale nie musi być rzeczą podrzędną. Przecież właśnie Peiper jest autorem pięknego aforyzmu o wartości marginesu w dziele literackim: w książce. Czyżby nie chciał tego stosować do spraw teatru?)

Egzystencjaliści — jak z tych pobieżnych uwag wynika — głoszą pesymistyczny indywiduizm. Fenomeny jednak, które uważają za wieczne i podstawowe dla wszelkiej psychiki ludzkiej, jak lęk, nuda, wstyd istnienia, itp. wydają się nam ściśle związane z określoną epoką historyczną: z okresem wielkiego kryzysu. Obserwacje ich są zadziwiająco trafne, jeśli je ograniczyć do tego typu człowieka, który powstał w epoce nadprodukcji i rosnącego bezrobocia. Terminologia ich nabiera w tym oświeceniu nowego i niedwuznacznego sensu: niepotrzebność człowieka w ogóle oznacza konkretną sytuację bezrobotnego, pustka — jest pustką jego niezajętych godzin, wstyd istnienia — wstydem niewłaściwego w proces produkcji człowieka. W epoce przedwzrostu wszyscy byliśmy potrosze egzystencjalistami. Dzisiaj wydaje się to już nieco spóźnione...

Artur Sandauer

Dwa teatry — czy jeden?

Zbyt długo krytyka nasza nie dostrzegała pierwiastków rzeczywistości w dramatach Szaniawskiego. Samotnie wykazać próbowałem, jak mocno w konkretnych problemach życia osadzony jest „Adwokat i róże”. By pojąć twórczość tego pisarza, trzeba ocenić rzetelną trwałość fundamentów, na których Szaniawski opiera swój precyzyjny, a zgodny z prawami natury gmach.

Piękną i godną uwagi wydaje mi się formuła Tadeusza Peipera, że wyobraźnia jest odrębnym organem bohaterstwa i prawdy. Wiemy, ile zawdzięczał francuski Ruch Oporu poezji Aragona, Eluarda, Supervielle’a i innych. Wiemy też, ile my sami zawdzięczamy wspaniałej wyobraźni Romantyków.

„Jednakże... Sprawa nie jest tak prosta! Czy „Dziady” Mickiewicza należy zaliczać do teatru realistycznego — czy do „teatru snów”? Kto by głosował za drugą alternatywą, musiałby pominąć może najbardziej wstrząsające sceny! Nawet w „Panu Tadeuszu” jakże trudno oddzielić marzenia od rzeczywistości.

Brałem udział w kampanii wrześniowej. Od maja 1940 żyłem w samym centrum planów i zmagani, bohaterstwa i wysiłków, projektów i poświęceń, w Warszawie. Front przebiegał przez serię naszych miast długo przed sierpniem 1944 roku. Nie zliczę przyjaciół, którzy zginęli. Nie zliczę towarzyszy walki, których kochałem i wielbiłem, a którzy padli w najbliższym zasięgu mego wzroku.

Sądzę, że potwierdzi to każdy, kto był razem z nami: Żołnierz, nawet na najszaleńszej wyprawie, jest realistą. Myśli o wrogu, o kolegach, o celu, o swojej broni. Gdyby o tym nie myślał, nie byłby dobrym żołnierzem.

Konspirator także jest realistą. Realnie musi myśleć o lokalach spotkań, o łącznikach, o środkach ostrożności, o umówionych znakach, o niebezpieczeństwie, o szpiclach. Realistą jest więzień. Realistą jest nawet konspiracyjny poeta.

Wszystkie wielkie prądy naszego czasu łączą wyobraźnię i wiarę — z potrzebą empirycznego badania faktów. Tylko jeden światopogląd uczy swych wyznawców, że życie jest absurdem, że jednak trzeba działać na ślepo, dla oświecenia siebie i drugich rozmachem fantastycznej aktywności. Ten światopogląd — to egzystencjalizm francuski. Bohaterstwo jest dla niego haszyszem; jego wyznawcy brali czynny udział w Ruchu Oporu, ale z podobnym automatyzmem, jak bohater „Kresu wędrowni” Sheriffa. Jest to heroizm rozpaczny.

Ci wszyscy, którzy chcą ludzkość prowadzić nie ku tym beznadziejnym horyzontom, ale ku lepszej przyszłości opartej na przekonaniu o rozumnym porządku świata — uznawać będą nierozdzielalność procesów wyobraźni i obserwacji, czyli realizmu i fantastyki.

Wojciech Natanson

W poprzednim (80) numerze „Odrodzenia” z dnia 9 czerwca 1946 r.: Tadeusz Dobrowolski: O hermetyzmie i społecznej izolacji dzisiejszego malarstwa. — Malarstwo polskie (Józef Pankiewicz). — Nagroda literacka „Odrodzenia”: Na szlakach śmierci. — Paul Valéry (przełożył Artur Sandauer); Nuta Semiramiady. — Józef Sieradzki: Ostatnie porachunki Cata-Mackiewicz. — Stanisław Helsztyński: Theodor Dreiser: czolowy pisarz Ameryki! — Ignacy Stądniński: Bibliomirze i bibliowirze. — Roman Bratny: Ostatni liryk. — W pracowniach pisarzy i uczonych. — Ankieta „Odrodzenia”. (Tadeusz Estreicher, Klaudiusz Filasiewicz, Kazimierz Gołba, Zofia Jachimecka, Lucjan Kaznowski, Kazimierz Lepsz, Jan Mergentaler, Jan Mydlarski, Józef Parnas, Marian Podkowski, Feliks Polak, Mieczysław Smolarski, Bożena Stelmachowska, Konstanty Strawiński, Janusz Supniewski, Władysław Szumowski, Władysław Tarnawski, Helena Willman-Grabowska, Tadeusz Wojtan). — Józef Sieradzki: Książeczka o Śląsku. — Franciszek Gil: Nowe oblicze Naprawy. — Wacław Kubacki: Quasi odpowiedź na ankietę. — Nowa Gigantomachia. — Władysław Dobrowolski: Słowiańszczyzna pierwotna. — js: O Witoldzie Wysłpińskim. — Tadeusz Breza: W teatrach krakowskich. Diabeł za skórą i ludzie kardynała. — Korespondencja (M. Bartoszewicz, Gabriel Karski, Emil Kraul, K. W. Zawadzki, Bolesław Dudziński). — Oświadczenie w sprawie kultury muzycznej w Polsce. — Sigma: Z teki dr. Prota Sowidzkiego. Historia się powtarza. — Stefania Łobaczewska: Życie muzyczne w Krakowie. — Jubileusz zastępczej pianistki. — 5 ilustracji. — 12 stron.

Teatr Miejski w Lublinie



Karol Borowski, dyrektor teatru

O eunuchach i kastracji

Władysław Szumowski. O eunuchach i kastracji w różnych krajach i czasach, oraz kilka drobnych artykułów. Kraków, 1946; str. 158.

Książka napisana jest przede wszystkim dla świata lekarskiego. Ale, jak to już było z „Historią medycyny” tegoż autora, czytelnik tak chętnie przez wszystkie warstwy inteligencji, okazało się niebawem, że i ta nowość wypłynęła szybko na szerokie forum. Zainteresuje ona bowiem nie tylko medyków w najobszerszym tego słowa znaczeniu, ale historyków, historyków kultury, filozofów. Znajdzie tam coś dla siebie i przyrodnik: geograf, etnolog, nawet duchowny, no i w końcu nieoznaczony bliżej kontyngent osób „czytających książki”.

Cóż to są te „drobne” artykuły? Moim zdaniem one to stanowią właściwy i głęboki pod względem naukowym sens nowej książki. Rozdział o eunuchach, jako największy i jako umieszczony na czele, dał tytuł całości.

Książka składa się z dziewięciu rozdziałów. Każdy z nich stanowi odrębną dla siebie całość. Traktują one najróżnorodniejsze tematy z pogranicza historii medycyny i historii kultury. Rzecz o eunuchach, to jest o mężczyznach, którym odebrano najistotniejsze znamiona męskości, zajmuje prawie czwartą część tomu i zawiera najwięcej rycin.

Muszę od razu zaznaczyć, że kto chciałby w tych rycinach szukać zaspokojenia niezdrowej ciekawości, ten się rozczaruje. Ryciny bowiem stanowią słabą stronę książki.

Zagadnienie eunuchizmu i kastracji potraktował autor głównie ze strony historyczno-kulturalnej. Także w krótkich omówieniach patologii i klinice tematu, pomijając natomiast tzw. eunuchoidyzm wrodzony, wywołany niedostatecznym rozwojem gruczołów płciowych i wadliwą lub zniszczoną produkcją odpowiednich hormonów, tj. substancji o charakterystycznym działaniu.

Cywilizowany Europejczyk z trudnością uwierzy, że byli i są dziś jeszcze całe organizacje zajmujące się trzebieniem za zgodą lub bez zgody upatrzonej ofiary. Co więcej, są ludzie, którzy, sami się pozabawiając części ciała tak integralnych. W tym wypadku na grę wchodzi najczęściej pobudki religijne: postanowienie dochowania czystości, pobudka nie uznawana przez Kościół katolicki, wymagająca do zasług silnego ducha, a nie kalectwa cielesnego. Nie sztuka być cnotliwym, gdy się nie ma możliwości grzeszenia.

Szumowski omawia podział eunuchizmu, sposoby kastrowania, geograficzne rozmieszczenie eunuchów jako specjalności Wschodu i w szczególności sektę rosyjską „skopców”, pobudki fabrykowania eunuchów, cele profesjonalne (straszny haremów, śpiewacy zachowujący głos chłopięcy o brzmieniu sopranowym, poszukiwany dawniej do chorów kościelnych) itd., itd.

Z pozostałych ośmiu rozdziałów cztery poświęcone są bądź dziejom medycyny (tu należy skróć dziejów medycyny polskiej), bądź prądom panującym w medycynie i poglądom lekarskim zmieniającym się w ciągu wieków (rozdział o „Wahaniach w medycynie”, „Bilans za lat półtora tysiąca”), bądź też nieśmiertelnemu problemowi „Doktrynizmu i sekciarstwa”. Czytelnik niefachowy mało się będzie interesował sporami wybuchającymi wśród rozmaitych szkół i kierunków filozoficznych. Będzie mu to najzupełniej obojętne, czy medycyna jest nauką czy sztuką, byle tylko przynosiła mu ulgę w cierpieniu. Toteż mniej obojętne będą dlań wahania w wyborze metody leczniczej. Laik bowiem żąda od lekarza nieomylności, a jeśli jej u niego nie znajdzie, zwraca się do znachora. Na szczęście zdrowy zmysł lekarski mający za sobą wielką empirię, a wsparty przez nowoczesną naukę, odnosi w końcu triumfy i tak medycyna dochodzi do najwyższego celu, jakim jest niesienie pomocy w chorobie i zapobieganie chorobom, za zgodą ludności lub nawet bez jej zgody.

Trzy rozdziały poświęca Szumowski sylwetkom biograficznym. W jednym jest mowa o najświetniejszym lekarzu arabskiego średniowiecza, Awicenne, zarazem słynnym filozofie, porównywanym z Arystotelesem; w drugim mówi się o lekarzu polskim żyjącym na przełomie średniowiecza i epoki nowożytnej, Macieju z Miechowa, zwanym Miechowitą, profesorem Akademii Jagiellońskiej a także słynnym kronikarzem, który początkowo korzystał z Długosza, a po jego śmierci, tj. po r. 1480 prowadził dalej „Kronikę Polską”.

Trzeci życiorys opiewa koleje niezwykłego, nam współczesnego człowieka, doktora trzech fakultetów: filozofii, teologii i medycyny, alchemika Alberta Schweitzera. Jako misjonarz i lekarz zarazem, wyemigrował on do Afryki i oddał się w zupełności na usługi muzułmanów, lecząc ich, operując i pielęgnując. Reprezentował własny kierunek filozoficzny, który wyrażał się w całej działalności. Dobrze jest to wszystko, co się przyczynia do życia i do podniesienia go na najwyższy poziom; że zaś to wszystko, co życiu przeszkadza, co zdolne do rozwoju życie hamuje lub niweczy. Szumowski, porównując filozofię Schweitzera z zasadami hitlerizmu, stwierdza, że jest ona bezwzględnie, filozoficznym wyrokiem potępienia na zasady, metody i całą „filozofię” Hitlera.

W rozdziale „Czerwony barwik demokratyczny” rzuca Szumowski myśl wznowienia zarchizowanego przemysłu barwikowego przez eksploatację rodzimego owada zwanego czerwcem polskim, a to włącznie do celów kosmetycznych. Nawijając do tej myśli poświęcił zagadnieniu czerwca osobny artykuł „Czerwień polska” w „Dzienniku Polskim” (nr 140 z dn. 22 maja br.).

Witold Ziembicki

ŻYCIE MUZYCZNE W KRAKOWIE

Najważniejszym wydarzeniem ostatniego tygodnia były występy artystów radzieckich: śpiewaczki Maksakowej oraz tancerzy Dudinskiej i Siergiejewa. Występ Maksakowej, jednej z najsławniejszych śpiewaczek rosyjskich, znanej już przed wojną z występów w Operze warszawskiej (przede wszystkim „Carmen”, której kreacja wzbudziła wtedy ogólny podziw) był osiągnięciem artystycznym na wielką miarę. Maksakowa bierze słuchacza nie tyle samym głosem, ile raczej swą sztuką interpretacji. Na wieczór krakowski wybrała program niezwykle ciekawy i wartościowy: Schumanna cykl „Mitose i życie kobiety” („Frauenliebe und Leben”) oraz szereg nieznanych prawie u nas pieśni Czajkowskiego. Pieśni Schumanna żyją wciąż jeszcze i to życiem bardzo intensywnym, mimo, że tak bardzo zmieniły się gusty muzyczne od chwili, gdy po raz pierwszy zachwyciły publiczność XIX wieku. Należą chyba one do najczystszej liryki pieśniarskiej, jaka wyszła spod pióra jakiegokolwiek kompozytora. Sposób ujęcia ich przez Maksakową odbiegał nieco od tego, do którego przyzwyczaili nas śpiewacy Zachodu, zwłaszcza śpiewacy niemieccy. Jej liryzm nie miał w sobie nic z sentymentalizmu, był powściągliwy, niemniej bardzo szczerzy i głęboki. Podziwiać należy jej olbrzymią kulturę pieśniarską, zważywszy że artystka operowa wyjątkowo tylko potrafiła przestawić się tak bez reszty na sztukę estradową. Maksakowa wykonała bardzo pięknie pieśni Czajkowskiego, wśród których znalazły się, utwory bardzo wartościowe, dziwnym trafem nie raz dość daleko odbiegające swą bezpośredniością i prostotą od jego twórczości instrumentalnej. Akompaniował bardzo dyskretnie i muzykalnie S. Stuczewski.

Tancerze radzieccy pokazali nam balet klasyczny najczystszej stylu o bardzo wysokim poziomie technicznym. Precyzja rytmiczna, lekkość i „muzyczność” ruchów w połączeniu z zawrotną wytrzymałością fizyczną oto ich główne zalety. Wirtuozostwo takie — jak zresztą każde wirtuozostwo — ma także i pewne ujemne strony: mianowicie pewne ubóstwo środków lub też ograniczenie się do kilku tylko z nich, takich, które pozwalają rozwinąć to wirtuozostwo w sposób najbardziej efektywny. Dotyczy to zwłaszcza tańców pokazanych w pierwszej części wieczoru, jak sce-

na z baletu znanego francuskiego kompozytora operowego z pierwszej połowy XIX wieku, Adama, z „Ognistego ptaka” (chyba Strawińskiego, a nie — jak zapowiadano — Skriabina?) i Walca Straussa. Bardziej interesujące były pod względem wyrazu i arabskiej ruchowej tańce drugiej części, zwłaszcza Saint-Saënsa „Umierający łabędź” (napisany specjalnie dla słynnej tancerki Pawłowej) i „Poliszynel” Rachmaninowa. (Ostatnich numerów niestety widzieć już nie mogłam).

W muzycznej części wieczoru wystąpiła znakomita skrzypaczka Eugenia Umińska, która w zeszłym tygodniu w koncercie radzieckich i polskich artystów, urządzonym przez Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej w Warszawie zdobyła olbrzymie powodzenie wykonaniem szeregu kompozycji polskich i rosyjskich (m. in. Romansu Rachmaninowa i Mazura Zarzyckiego) Wyjątki z „Beniowskiego” recytował dyr. Woznik.

W sali Konserwatorium odbył się w dniu 5. VI. recital fortepianowy gościa z Poznania, Zygmunta Lisieckiego, który miał już sławę dobrego pianisty. Wyjątkowo starannie ułożony program o jednolitej, konsekwentnie przeprowadzonej linii: od Chopina i Schumanna (Etydy Symfoniczne) przez Debussy’ego i Skriabinę aż do Szymanowskiego, świadczył o jego dobrym smaku i wysokich aspiracjach. Niestety artysta był tego wieczora najwidoczniej niedysponowany, nie opanował dostatecznie programu ani technicznie, ani pamięciowo, ani — rzecz najważniejsza — muzycznie. Brak ścisłości w traktowaniu tekstu, rytmiki, a zwłaszcza częste, absolutnie nieuzasadnione dowolności w traktowaniu stylu poszczególnych utworów nie pozwalały przyjąć ostatniej produkcji Lisieckiego jako pełnowartościowego świadczenia artystycznego. Jako przykład wymienię choćby „Tantisa-Blaža” Szymanowskiego, którego cały sens artystyczny został skrzywiony przez zbyt „romantyczne”, liryczne potraktowanie partii, pomysłanych przez kompozytora zgoła nielirycznie. Podobne zarzuty postawiłabym wykonaniu utworów Debussy’ego, które było zupełnie niewłaściwe, zapożyczone z interpretacji kompozytorów romantycznych, nie licujące z charakterem impresjonizmu muzycznego.

Stefania Łobaczewska

Teatr Dolnośląski w Jeleniej Górze



Władysław Staszewski w „Sulkowskim” Stefana Żeromskiego w roli tytułowej.

Nowe wiersze Zechentera

Tomik wierszy Witolda Zechentera zatytułowany „Strzępy okupacji” dzieli się na dwie części. W pierwszej, tytułowej, znajdujemy wiersze odnoszące się do rozmaitych wojennych i powojennych wydarzeń lat 1939—1945, druga — jak wskazuje jej tytuł: „Liryka” — zawiera utwory bardziej intymne, osobiste, nie związane bezpośrednio z wypadkami historycznymi.

Zechenter jest autorem od dawna znanym czytelnikom — zwłaszcza krakowskim — ze swej żywej działalności publicystycznej i poetyckiej. Omawiany zbiorek nie przekracza jego dotychczasowych przedwojennych osiągnięć artystycznych i kontynuuje tę samą linię dążeń szlachetnych w swej treści, w swoich wzruszeniach i reakcjach bliskich sercu każdego, który ugiął się pod ciężarem okupacyjnej grozy — ale zarazem nie zdobywających się na wysiłek znalezienia świeżego i odkrywczego kształtu artystycznego. Przerost publicystycznej treści widoczny jest zwłaszcza w części pierwszej, gdzie koszmarną okupacyjną rzeczywistość jest tak dojmujący, że powoduje nierzaz załamania przejęte skądinąd tradycyjnej rytmiki, pełnej u Zechentera grzyzłoty i nierówności. Z tego samego zapewne źródła płyną również nieoponowane języka pełnego prozaimów, barbaryzmów, wątpliwych, nieprzemysłanych metafor, tego wszystkiego, co zrozumiałe, jeśli chodzi o piszącego, w afekcie, na gorąco, publicystę, co nie może jednak usprawiedliwić poety.

To samo odnosi się również do kwestii rymu i asonansu, które potraktowane są u Zechentera niedbale i niestarannie. Kilkakrotnie podkreślano już w prasie beztroską nieodpowiedzialność poetów, którzy — korzystając z braku jakichkolwiek teoretycznych ustaleń, jeżeli chodzi o asonans — pozwalają sobie na daleko idące dowolności. Oto przykłady asonansów Zechentera: „torturę i krew — cieszycie się” albo „a to co było? most? — Ogniska... tam już są...”.

Mimo wszystko, niektóre wierszyki Zechentera wzruszają swoją bezpośredniością i prostotą żywo i szczerze reagującego uczucia. Do najlepszych tego rodzaju należą np. elegia poświęcona śmierci niezapomnianego Janusza Korczaka lub „Muzeum „Europa”. Takiego typu wierszy więcej znaleźć można w części drugiej, lirycznej, znacznie bardziej pod względem rytmicznym i wersyfikacyjnym zrównoważonej. Henryk Vogler

KORESPONDENCJA

CO INNEGO „FISTASZKI”, A CO INNEGO PISTACJE

Do redaktora „Odrodzenia”

Małeńkie sprostowanie do artykułu „Traduttore-traditore” w nr 78 „Odrodzenia”:

Już przed wojną ułarła się u nas nazwa „fistaszki” na przypiekane orzeszki ziemne, figurujące w urzędowych wykazach importowych jako „arachidy”. Są to nasiona rośliny przemysłowej, nazywanej się po łacinie „Arachis hypogaea”. Krzakci wielkości naszych kartofli mają delikatne listki, ki podobne do listków konicyzny i drobne kwiatki, które, po zapyleciu wstają w ziemię i tam zalegają, zawierając jeden do trzech orzeszków. Podziwnotnikowa ta roślina przyjęła się w całej południowej Europie i przed wojną były nawet udane próby uprawiania jej w Polsce pod gołym niebem. Z „arachid” tłoczy się przede wszystkim olej. Orzeszki, prażone w łupinach, są tymi „fistaszkami”, które tak chętnie chrupią dzieci i młode pary.

Pistacje są także orzeszkami, ale z drzewa „Pistacia vera” dochodzącego do wysokości 10 metrów. Orzeszki pistacji mają silny smak migdałowy i używane są w cukiernictwie i wędliniarstwie jako doprawa aromatyczna. W lodach pistacjowych, które autor czule wspomina, był w najlepszym razie olejek pistacjowy i zielona farba, oczywiście — nietrująca. Zofia Ziębicka (Wrocław)

KATALOG FAŁSZYWYCH PRZEKŁADÓW WYRAZÓW OBCYCH

Do redaktora „Odrodzenia”

Podany przez B. Dudzińskiego w 21 (78) numerze „Odrodzenia” katalog warto przedłożyć o dwie dalsze pozycje, bardzo powszechne w tłumaczeniach z angielskiego.

Czytamy tam nieraz, że jakiś człowiek ubrany był w żakiet koloru np. błękitnego. Tłumacz mechanicznie przetłóżył angielski wyraz *jacket* na polski żakiet, chociaż z kontekstu najoczywistej wynika, że chodzi wcale nie o wizytowy „żakiet”, inaczej „jaskółkę”, a po angielsku *cutaway*, i że żakiet (niemieckie *Jacke*, włoskie *giacca*) oznacza tu po prostu kurtkę, a nieraz nawet roboczą bluzę uszytą z niebieskiego płóciaka.

Czytamy też nieraz o „welwetowych” sukniach balowych, wstążkach na szyję itp. Otóż nazwa welwet przyjęła się w polskim na oznaczenie grubych prążkowanych aksamitów welnianych i bawełnianych (*velour a cotes*), którymi się kryje meble klubowe i ławki wagonowe, i z których się szyje mome ubrania robocze i sportowe. Sukni balowej ani wstążki nikt z takiego welwetu nie robi. Chodzi oczywiście o aksamit, po angielsku *velvet*, czego łatwo się domyślić z opisywanej sytuacji.

Tego rodzaju fałszywe, czy tylko nieścisłe przekłady dowodzą nie tyle nawet niedostatecznej znajomości języka obcego, ile po prostu beznamiętności tłumacza i jego obojętnej niechęci wobec przekładanego tekstu.

Natomiast głośno swego czasu „konie brązowe” (tzn. po prostu gniade) ze znanego tłumaczenia „Krystyny córki Lawransa”, dowodzą charakterystycznie niedostatecznej znajomości własnego języka. Henryk Jasieński (Kraków)

KRONIKA FILMOWA

„NIEUCHWYTNY SMITH”, FILM PRODUKCJI ANGLIEJSKIEJ

„Nieuchwytny Smith” jest produktem najbardziej angielskim z angielskich. Bohater filmu w doskonałej interpretacji Leslie Howarda (niezapomnianego odtwórcy szekspirowskiego Romea) — uczony, archeolog, a trochę i awanturnik z najsłabszych podtekstów — jako zadanie stawia sobie ratowanie ludzi nauki i artystów zagrożonych przez reżim hitlerowski. Najpierw robił to sam w 39 r., w przeddzień wybuchu wojny, a potem z pomocą studentów swego fakultetu, z którymi wybrał się na wycieczkę naukową w głąb Niemiec. Działalność profesora i jego metoda ma w sobie coś z najlepszych tradycji Sherlocka Holmesa, a przede wszystkim cechuje ją ta sama postawa psychiczna — flegma i nonszalancja przy wykonywaniu każdego zadania. Metoda to z głupia fant i niepozorna, postępująca się najprostszymi środkami, na których trudno jest się poznać policji niemieckiej i jej przywódcom, rasie skrzyżowanej z feldwebela i naukowca. Szefem policji jest historyczny fikcyjny Graum (Goering + Himmler), ucharakteryzowany raczej na tego pierwszego — opasty, impetyczny obzartek (polykaniec czekoladek), zamierzony w kiczowym bombastycznym malarstwie (ściany gabinetu), gładki w towarzystwie i okazale umundurowany. Graum jest mądrzejszy od swego otoczenia, ale nie zanadto, w każdym razie nie dość wiele żeby się nie stał tarczą dla dowcipów i kawałów koczującego Anglika, który nie zaniebija żadnej okazji w wykłanianiu Graumowi ignorancji i w pouczeniu go o wyższości kultury angielskiej nad niemiecką.

Akcja się skupia dokoła wybranej właściwie dość niezręcznej postaci polskiego (?) dziennikarza Władimira Kozłowskiego, który aresztowany z powodu poprzedniej wyspy z kim innym — twarzą się trzyma na przesłuchaniu, a w każdym razie zbyt niewnie stoi na nogach w zestawieniu z tym, co wiemy o przebiegu tego rodzaju przesłuchań. Córka Kozłowskiego (która mówi o sobie wbrew objaśnieniom w tekście, że jest „Rusinką”) za cenę przy-

obiecane uwolnienia ojca daje się początkowo „podpuścić” przeciw Smithowi, ale rychło przechodzi na jego stronę i kompensuje w życiu archeologa pierwiastek erotyczny, wypierając dotychczasową kochankę profesora — mamutową Afrodytę z Lesbos. Wszystko to bardzo przyjemne, dyskretne i kulturalne, ale mało prawdopodobne; do całej historii trudno przywiązywać więcej wagi, niż do powieści kryminalnej.

Niemcy — niestety — nie wykraczają poza ogólnie przyjętą po tej wojnie receptę. Ministerstwo propagandy to banda cymbałów, żyjąca w strachu przed gestapo i dająca się wodzić za nos zrecznie ucharakteryzowanemu Anglikowi. Nic dziwnego, że i ostateczne coup — wykradzenie kilku więźniów wraz z Kozłowskim z obozu koncentracyjnego — gładko się udaje.

Szczególą uwagę trzeba poświęcić zakończeniu filmu, dlatego, że jest wyrazem humanistycznym „credo” realizatorów i dlatego, że aktorsko i formalnie jest dobrze zrobione.

„Nieuchwytny Smith” mimo serii powodzeń wpada w ręce Grauma. Przeciwnie ponad miarę swój pobyt na terenie Niemiec z dwu przyczyn: kocha się i jest gentlemanem, nie może pozostawić ukochanej na pastwę losu. Graum żyje żądzą wywarczą osobistej zemsty na impertynencem Anglika, którego niezaprzeczona wyższość ku własnemu poniżeniu dotkliwie odczuwa; nie odmawia więc sobie przyjemności własnoręcznego wykonania wyroku. Wówczas, w obliczu śmierci, Smith paląc papierosa, spokojnie robi bilans strat i zysków po obu stronach, po angielskiej i niemieckiej; 28 wyratowanych za jedno życie — jest więc zwycięzca. Graum się piekło swoim zwyczajem i popełnia niezręczność. „Nieuchwytny Smith” znika mu sprzed oczu, pozostawiając po sobie tylko ciężkie kręgi dymu z „Chesterfielda”. — Wróć — woła Graum w bieżym zaślepieniu — śmieszne żądanie oprawy względem ofiary. — We all come back (my wszyscy powrócimy) — odzywa się spoza dostępnego pola widzenia sugestywny głos Smitha.

Marian Promiński



rys. Charlie

EMIGRACJA LONDYŃSKA (według pomysłu Zygmunta Nowakowskiego)